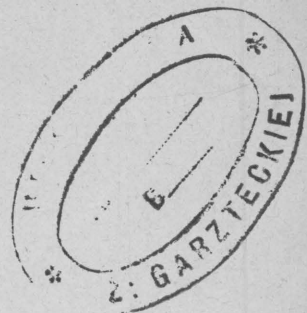


Handwritten text, possibly a name or address, with a small 'M' mark.

Handwritten text, possibly a date or location.





GDY JAGIEŁŁO SZEDŁ NA NIEMCE...

Gdy Jagiełło szedł na Niemce...

OPOWIEŚĆ

W 500-tą ROCZNICĘ BITWY POD GRUNWALDEM

skreślił

Włodzimierz Trąpczyński

Z 10 RYSUNKAMI.



WARSZAWA

Nakład i własność Konstantego Treptego

1910



... „Krzyżackiego gadu nieugłaszczcie
Nikt, ni gościna, ni prośbą, ni dary!...
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele“.

Adam Mickiewicz.

ROZDZIAŁ I.

W drodze ku granicy pruskiej.

— Czy daleko jeszcze, czy długo tak pójdziemy? — zapytał młody chłopiec, nie starszy nad lat piętnaście, zwracając słowa swoje do towarzysza, mężczyzny o postawie olbrzyma, czyniącego wrażenie jakiegoś potwora, który zapędził się w gąszcze leśne, aby płoszyć odwiecznych mieszkańców kniej i moczarów.

Twarz tego człowieka trudno byłoby określić, a wiek jeszcze trudniej. Niby kłoda wielka posuwał się wciąż naprzód, cały okutany w skóry bobrowe, że jeno wyzierały szerokie, kościste ręce, z których jedna była wolna, a druga przytrzymywała potężnych rozmiarów topór. Przez lewe ramię miał przewieszony łuk, kilka strzałek zatknął przy boku, na plecach dźwigał dobrze

wyostrzony kołczan, a wokoło, u pasa, zawiesił niezliczoną wprost ilość oszczepów, z gruba ciosanych kamiennych i żelaznych przyborów, mogących służyć zarówno ku obronie, jak i w razie potrzeby ku napadnięciu na ukrytego i gotowego do zaczepki wroga.

Ogromne stopy ukryte były również w skórzanych płatach, przybitych do grubej, nieudolnie wyciętej podeszwy, od której szły łyka, opasujące nogę aż po kolana.

To wszystko można jednak było rozpoznać dopiero po bliższem przyjrzeniu się olbrzymowi, gruba bowiem warstwa mułu, błota i zgniłych liści tak się wżarła nietylko w odzienie, ale w twarz i ręce tego człowieka, że wyglądał raczej na bryłę ziemną, niż na istotę ludzką, stworzoną na obraz i podobieństwo Boskie.

Starszy to musiał być wszelako mężczyzna, zmarszczki bowiem rysowały się już na czole i obliczu, tworząc niby bruzdy wyorane, a nasiąknięte błotem, czasami też garbił się i pochylał mimowoli, choć trwało to zawsze krótko. Po każdym takim zapomnieniu się chwilowem prostował się szybko, toporem kilka razy wywijał w powietrzu, że aż świst rozlegał się daleko, i raźniej jeszcze szedł naprzód, to ścinając

tamujące mu drogę gałęzie, to odgarniając wolną ręką zwoje chmielów, które zdawały się czychać na śmiałka, ażby go opleść i nie wypuścić z swojego uścisku śmiertelnego.

Na pytanie chłopca mężczyzna nie odpowiedział i jakby nie słyszał tego głosu dziecięcego, wyteżonym wzrokiem rozglądał się naokół.

Przyzwyczajony widocznie do bezwzględniego posłuszeństwa chłopczyzna nie powtórzył pytania i uginając się pod ciężarem trzech torb, które miał przewieszzone na sobie, a podpierając się okutą mocno na dole i zakończoną płaskim, wyostrzonym żelazem dźwidź, kroczył bez szemrania za swoim przewodnikiem, wytkniętą już przez niego ścieżyną leśną. Łyka na nogach w kilku miejscach były albo popękane, albo też ledwie się trzymały, skóra, pokrywająca stopy, przetarła się i wyzierało z pod niej gołe ciało, w które wpijały się żarliwie kulki ostu i iglice. Czasami krew zabarwiła na chwilę mchy i ziemię rozmiękłą, pokrytą zmurszałą trawą, chłopiec jednak zdawał się nie zwracać uwagi na ból i wyciągał nogi, jakby się lękał, że ten przewodnik jego zginie gdzieś w gąszczu, on zaś zostanie sam, bezradny w tym lesie bezbrzeżnym, pełnym zwierza i płazów jadowitych.

Pomimo gorącej chęci dotrzymania kroku, chłopiec opadał już jednak z sił, ciężko robił piersiami, a pot kroplisty, choć to był dzień chłodny o późnej jesieni, spływał mu z zamulonej twarzy. I byłby może raczej upadł ze zmęczenia, niż ośmieliłby się powtórzyć zapytanie, gdyby starszy człowiek, który przez chwilę szedł znów przygarbiony, nie przystanął nagle, a wyprostowawszy się i rozglądając bacznie na około, nie mruknął więcej do siebie, aniżeli do malca:

— To dziwne. Czyżbym zmylił drogę, lub pobłądził? Ale nie, to niemożliwe. Stary Bartosz dobrze zna te strony, przecież nieraz zapuszczał się w głąb lasu i znaczył ślad, ażeby nasi ludzie nie potrzebowali się błąkać.

Dotąd trzymałem się tych śladów, ale teraz jakoś w żaden sposób nie mogę na nie trafić. Może je deszcz zmył, a może ktoś umyślnie zatarł, albo wreszcie przeciągające tędy stada dzików zwały drzewa nacięte i skopały nasypy?

Chłopiec spojrzał bacznie na mówiącego, a snadź taki przestrach dziecinny wyrzył się na jego twarzy, że mąż o olbrzymim wzroście, odrzuciwszy muł zielony i błoto, odsłonił siwą,

długą brodę, uśmiechnął się zlekka i bladoniebieskie oczy, w których malowała się łagodność i dobroć, skierował na malca.

— Boisz się, Przemko? — zapytał.

Chłopiec zwiesił głowę zawstydzony, ale podniósł ją zaraz dumnie w górę i odparł:

— Wiem, że przy tobie, dziadku, nie straszny mi ani zwierz dziki, ani wąż, ani padalec?

— O złym człowieku zapomniałeś — zauważył mężczyzna. — Czy nie uląkłbyś się przy moim boku nawet Krzyżaka? Przecież zbliżamy się już do granic państwa tego niemieckiego gadu?

W twarzy Przemka odbiła się teraz zawziętość taka, że ona aż przerażać mogła u chłopca w tym wieku.

— Wiem, dziadku, gdzie jestem i po co idziemy do ich krainy, a chociaż za słaby jestem, ażeby się zmierzyć z rycerzem zakonu, to przecież aż tęsknię do tej chwili, gdy będę mógł ujrzeć białe płaszcze z krzyżem. I dlatego właśnie zdjął mnie lęk, gdy powiedziałeś, dziadku, że może zbłądziliśmy w drodze i że jeszcze moglibyśmy zawracać, ażeby nanowo zasięgnąć języka u starego Bartosza.

— Chyba tak źle jeszcze nie jest — rzekł

człowiek, nazwany dziadkiem — późno już jednak, a chmury nadciągają coraz czarniejsze i niezadługo ściemni się tak, że ani sposób posunąć się dalej. Trzeba pomyśleć o jakim legowisku i wybrać miejsce bezpieczne, o które tutaj wcale nie łatwo. Zmęczeni jesteśmy obaj i choćbyśmy chcieli jeszcze tę trzecią noc czuwać, już siły nie starczyło i sen zmorzyłby nas niechybnie. A wtedy biada, gdyby zwierz, lub płaz jaki dostrzegł naszą kryjówkę.

Rzeczywiście, po przez rościelające się tu i owdzie gałęzie dostrzedz można było, że niebo zaciąga się coraz gęstsza, czarną powłoką, od czasu do czasu też spadała ciężka kropla deszczu, zatrzymując się na liściach.

— Zostań tutaj — rozkazał stary — ja zaś zapuszczę się nieco w bok, a gdy posłyszysz odgłosy rogu, pójdziesz w tym kierunku.

Za chwilę zniknął w gąszczu i tylko przez czas krótki słyszeć było, że śmigał toporem i torował sobie drogę. Potem wszystko ucichło i chłopiec, oparty o drzewo, czekał, wyęzając słuch, czy nie dobiegnie go odgłos rogu. Krople deszczu coraz częściej i gęściej spadały, aż wreszcie lunął deszcz, niestraszny wprawdzie dla chłopca, ale skłaniający go do szukania schronienia pod osłoną rozłożystego drzewa.

Przemko usiadł na rozmokłej ziemi i puścił wodze myślom. Już dwadzieścia dni z górą minęło, odkąd z dziadkiem Janem z Krzekotowa i gromadą wielu innych stryjców herbowych, klejnotu Topór, puścił się na wędrówkę, a wraz z nim wyszło także trzech innych młodzieńców w równym mu wieku: Jaśko z Półwicy, Każko z Lubońca i Spytko z Zaniemyśla. Z początku niechciano ich zabrać w daleką i uciążliwą, pełną przygód i niebezpieczeństw drogę, po nardzie jednak starszych postanowiono dopuścić do swojego grona tych młodych śmiałków, wyrozumowawszy sobie, że zawsze dobrze posługiwali się można będzie zwinnymi chłopcami.

A chodziło przecież nie o zaznanie awantur- niczych przygód, jeno o rzecz wielkiej wagi. Od Opalenicy i Buku aż po Śrem i Kurnik wrzała gniewem cała szlachta wielkopolska. Zamilkły swary i kłótnie domowe, zobojętnieli wszyscy dla spraw publicznych, nie pytano się już o to, czy Grzymalitom czy Nałęczom przyznać słusność, przestał zajmować swoją osobą pan na Wissenburgu, wszystkich bowiem ogarnęła trwoga wobec postawy, jaką zajął Zakon Krzyżowy, dążący do zagarnięcia pod swoje panowanie odwiecznej kolebki Piastów. Dopóki Za-

kon łakomie sięgał po Ziemię Chełmińską i Dobrzyńską, brać wielkopolska, osiadła jakgdyby na bezbrzeżnej wyspie, okolonej lasami i prawie nieprzebytymi moczarami, mało troskała się o los całości państwa. Z chwilą jednak, gdy Władysław Opolczyk zaczął frymarczyć Kujawami, ciężka ręka Krzyżaków dała się uczuć już dotkliwie. Nieposkromieni w żądzy opanowania całej Polski, dzierżawcy Ziemi Kujawskiej coraz dalej zapuszczali swoje zagony, urządzali wycieczki w głąb krainy, pragnęli zawładnąć Gopłem, a na pojedynek przedsiębrali dalekie nawet wyprawy, wszędzie pozostawiając po sobie ślad w postaci nowych porządków, obcego języka i odmiennych zwyczajów.

Zdarzyło się, że jedna z takich wypraw, które do zbójeckich mogłyby być zaliczone, w zapędzie wielkim dotarła aż do Gniezna, miasto to jednak chytrze ominęła i zwróciła się w strony okoliczne, plądrując po drodze i ściągając łupy. Kosztowne skóry wszelakiego zwierza, wśród których niepoślednie miejsce zajmował bóbr, ren, soból i więcej jeszcze ceniony od sobola lis centkowany z rodzajem wykrapianego krzyża na grzbiecie, całe beczki miodu, stano-

wiącego największe bogactwo kraju, niezliczone ilości łodzi, napełnione lipniami, berzanami, uklejami, sielawami — wszystko to uprowadzone pomnażało dochody i dobytek łupieskich braci krzyżackich.

Potulny, patryarchalnie wiodący swój żywot, naród wielkopolski na takie napady, coraz częściej się powtarzające, nie był przygotowany, nie łakomiąc się też na cudze dobro, nie przypuszczał, ażeby łupiestwo posunąć się mogło do tego stopnia.

Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z nowymi postępami braci zakonnej. Nie poprzestając na uprowadzaniu dobytku prawowitych mieszkańców nizin wielkopolskich, sięgnięto po świętości rodzinne i zaczęto albo siać ziarna niezgody w domowe życie rodów, albo też uciekano się do przemocy i siłą zabierano synów ojcom, córki matkom, żony mężom.

Dumający teraz w lesie pod rozłożystym drzewem, wśród świstu wiatru i coraz ulewniejszego deszczu, Przemko nie obejmował może jeszcze słabym umysłem ogromu niebezpieczeństwa, grożącego Wielkopolsce, od najmłodszych jednak lat, jak tylko sięgnąć mógł pamięcią, tyle się nasłuchał o ciągłej grozie,

zawisłej nad głowami tych, którzy mu byli najdrożsi i najbliżsi sercu, że jedną tylko w chło-



Uprowadzenie jeńców.

pięcem sercu swoim piastował nienawiść:—do tych gnębieli, mianujących się czołem całego świata chrześcijańskiego.

Miara cierpliwości i potulności przebrała się wreszcie, gdy na wiosnę ukazały się znów pod Środą i Kościanem zastępy najeźdźców, wiedzionych ku plądrowaniu ziemi wielkopolskiej przez kilku rycerzy z mieczami przy habicie mniszym. Pomni dawnych krzywd mieszkańcy tych stron postanowili powstrzymać zapędy i zgromadziwszy się w poważnej liczbie na wyspie pod Zaniemyślem, wystąpili zbrojnie przeciw niezwykłym wrogom. W możliwie krótki sposób sprawiono tedy pośpiesznie hufce, rozłożono się taborem, do którego śpieszono w różnorakim uzbrojeniu i rozstawiono po dalekiej nawet okolicy czujnych strażników, mających w razie niebezpieczeństwa, zapomocą podpalonych słupów słomianych zawiadomić o nadciąganiu fali łupieżców.

Przeszacowano jednak swoje siły. Jakkolwiek bowiem pod wodzą obwołanego starszym Mikołaja z Bnina zebrała się nawet dość potężna gromada obrońców, wszyscy oni jednak posiadali takie starodawne i dla bitwy w otwartym polu niezdatne uzbrojenie, że próżną okazało się rzeczą stawić czoło wytrawnym, wyćwiczonym i w nowoczesną broń zaopatrzoną, acz stosunkowo bardzo nielicznym zastępom.

Pod razami jednego z najeźdźców padało po kilkunastu silnych, jak lwy, i roślących, jak dęby, Wielkopolan, a kopyta wielkich rumaków trątały i miażdżyły do reszty walczących. W dodatku napastnicy posiadali strzelby, niezbrane dotąd nikomu, które wywoływały huk, dym i raziły najmężniejszych na daleką odległość.

Kłęska ztąd wyrosła wielka i mocno przerezione niedobitki cofnęły się w popłochu na wyspę, pozostawiając na pastwę łupieżców domy, zagrody, dobytek żywy i martwy, a co najważniejsze — pozbawione męskiej opieki rodziny.

Zwycięzkie rotę rozbiegły się po okolicy, a gdziekolwiek się ukazały, widać było łuny od palących się zagród, wszędzie rozlegały się płacze uprowadzanej dziatwy, zakuwanych w dyby sług.

— Tylko kłopot będziemy mieli z tą zgrają niedorostków, lub nieokrzesanych niedołęgów — sarkali knechtowie krzyżacy podczas pochodu do Prus.

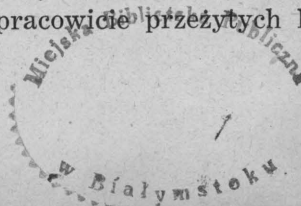
— Milczeń, głupcy! — krzyknął groźnie w odpowiedzi Karol z Essewrade, dowódca tej wyprawy. — Naszemu mistrzowi potrzeba ciągle nowych sił, dobrze przez nas przygotowa-

nych. Zwolna przyzwyczajmy ich do posłuszeństwa, wyrobimy na dzielnych wojaków. Nie z takimi dawaliśmy sobie radę. A kiedy już przyjdzie do walnej rozprawy z tą przeklętą oporną Polską, pobijemy ją własnymi jej dziećmi.

— Mądre są słowa wasze — zawtórowano i z wielu piersi wyrwał się jednocześnie okrzyk uznania: „Niech żyje Wielki Mistrz! Niech żyje zakon, zdobywca świata, surowy sędzia dla niewiernych!“

Przemkowi jak przez sen przesuwały się teraz różne obrazy, przypominał też sobie wszystko dokładnie: jak to do Krzekotowa przyciągnęła również banda, jak gospodarowała, zabierała, co się tylko dało unieść, jak batogiem napędzała młodszych kmieci do szeregu, jak rubasznie zachowywała się wobec kobiet.

Dziadek z ojcem wyszli na wyspę, pozostała więc w domu tylko matka z sześciorgiem dzieci pod opieką wiernego i doświadczonego, ale staro i niedołęznego Kuby z Czarnotek, który, jako daleki powinowaty, zrósł się z rodziną Toporczyków i stawał się w wielu wypadkach cennym doradcą i pomocnikiem. Kubie liczono z górą sto pracowicie przeżytych lat, co na



owe czasy, gdy nawet 80 letnia królowa „stroiliła tańce“, nie było wcale rzadkością. Czyż jednak taki starzec, choćby najbardziej krzepki w ręce, mógł osłonić swoją piersią, powierzoną jego pieczy gromadkę przed kilkunastu rozjuszonymi i upojonymi powodzeniem napastnikami?

Nie kusił się też bynajmniej o to Kuba z Czarnotek, lecz widząc, że nie podoła przezwadze, zdobył się tylko na to, iż pod stodołą zawczasu kazał wykopać dużą jamę, nakryć ją wielkimi płytami kamiennymi, tworząc w ten sposób na wszelki wypadek miejsce ucieczki dla zagrożonej matki z dziećmi.

Chwili zbliżania się najeźdźców do Krzekotowa nie mógłby Przemko zapomnieć do końca życia. Pamięta, jak stary Kuba kazał się pośpiesznie wszystkim schronić do owej jamy, pamięta, jak wszystkim biły serca gwałtownie, jak matka w tym lochu ciemnym ręką tylko dotykała główek dziecięcych, chcąc się ustawicznie upewnić, że ma całą szóstkę przy sobie. Zdawało mu się, że wieki całe przepędza w jamie i z niecierpliwością czekał na ów moment, gdy zjawi się Kuba, odwali ciężkie kamienie i wyprowadzi znów wszystkich na wolność, na światło.

Co się działo na górze, nie wiedział nikt z ukrytych w jamie, a działy się tam sceny straszne. Niezadowoleni z małego łupu najeźdźcy, gniew swój wywarli na bezbronnych starcach i kobietach, a ustawiwszy w rząd, przypiekali im nosy i brwi.

— Dostyc tej zabawy! — zagrzemiał wreszcie głos herszta. — Szkoda czasu. Ażeby jednak została po nas pamiętka, trzeba podpalić całą osadę z czterech stron.

Kuba z garstką kmieci nie rozumiał tych słów, z rozumiał jednak grozę położenia, gdy po kolei płonąć zaczęły zabudowania krzekotowskie. Uprowadzono tylko konie lepsze, wszystko zresztą, nawet bydło i świnie oddając na pastwę coraz więcej ogarniających całą wieś płomieni. Kiedy przystąpiono do podpalania stodoły, stary Kuba oniemiał na razie, ale oprzytomniał szybko i krzyknąwszy: „Za mną!“ pędził gasić rozpasany żywioł.

Niemcy patrzeli na ten wysiłek i uśmiechnęli się drwiąco.

— Widać, że chce się uwędzić — rzekł w końcu dowódca. — Nieprzeszkadzajmy temu waryatowi. Dalej, w drogę! Gdzieindziej obłowimy się lepiej.

Pomknęli z kopyta, głusi na jęki i płacze, nie obejrzelisi się też nawet po za siebie, dążąc ku poblizkiemu Jaszcowu.

Kuba z Czarnotek również jakby ogłuchł. Nie obchodzili go już teraz nic najezdzy, зда- waćby się mogło, że się zapamiętał, że nie widział nic przed sobą, że szuka śmierci w płomieniach. Wietrzyk, który przewiewał, wicherzył mu srebrne i długie włosy, wyglądał też prawie dziko ten starzec, gdy kościstymi rękami rwał ściany płonącej stodoły, odrzucał palące się głównie, szarpał wrotami.

— Zginiecie, ojcze Jakóbie — tłumaczyli kmiecie, niezbyt skwapliwie dopomagający staremu w jego robocie.

— Niechaj sam zginę, ale ich uratować muszę — syknął przez zaciśnięte zęby. — Oni tam się uduszą, albo padną zgnieceni, gdy runie na nich cały ciężar zgliszczów. Ratujcie kto w Boga wierzy!

Kmiecie przynosili wodę, rzucali piasek, wyschłe jednak dobrze ściany stodoły paliły się jak wióry i niemal w mgnieniu oka iskry objęły słomiane pokrycie. Nie było ratunku.

— Niech się dzieje wola Boża! — jęknęli wszyscy i przyklękli, z rozpaczą ręce wyciągając ku niebu.

Kuba nie przyłączył się do modlących, on pracował dalej i kilka razy zapuszczał się już w głąb, ale powracał pośpiesznie.

Nagle rozległ się trzask, huk straszliwy i stary Kuba nie dojrzał już nic więcej. Jedna z grubych, płonących desek, spadła mu na głowę, płomień ogarnął włosy, a żarzące się węgle wygryzły oczy. Z trudem wydobyto osmolonego, okrutnie pokaleczonego starca i ułożono na piasku, okładając rany liśćmi, umoczonemi w wodzie, z bólu stracił przytomność, jęczał więc tylko, ale w gorączce powtarzał ciągle pytanie:

— Czy żyją wszyscy? Czy uratowani?

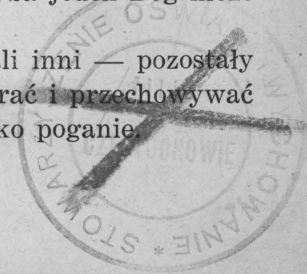
Czasem znów zrywał się, podpierał na mniej okaleczonej ręce i wydawał rozkazy:

— Bieżajcie do nich! Tam się duszą!

Z politowaniem patrzano na dobrego i przez wszystkich umiłowanego starca, nie śpieszono się jednak z spełnieniem jego woli.

— Kogoż tam ratować?—mówiono i kiwano głowami. — Przecież chyba jeden Bóg może wskrzeszać umarłych.

— Zresztą — dogadywali inni — pozostały tam tylko popioły, a te zbierać i przechowywać w urnach mają zwyczaj tylko poganie.



Nawoływania rozpaczliwe chorego starca powtarzały się tak często, że zaczęto jednak zastanawiać się nad tem. A nuż ten dziadek w jasnowidzeniu przedśmiertnem mówi prawdę? A nuż skona ta matka z sześciorgiem dzieci wskutek braku pomocy?

Na drugi dzień, gdy już resztę tlejących się iskier zagaszono, kmiecie postanowili odwalić gruz i kamienie i przekonali się o tem, co się stało w lochu. Wymagało to pracy dużo, a rąk było mało, skoro jednak raz zapadła już uchwała, wyteżono siły i do wieczora usuwano przeszkody. Pot łał się z czoła, ale roboty niewiele ubywało i nad wieczorem spostrzeżono z bólem, że mało posunięto się naprzód. Po krótkim spoczynku wzięto się zatem od świtu dnia następnego znów do dzieła, a chociaż teraz znacznie już oczyszczono pole, to przecież pozostało jeszcze sporo do roboty na dzień trzeci.

— Jeśli nawet się nie spalili — mówiono w gromadzie — to przecież nie wydostaniemy ich żywych.

— W takim razie wyprawimy pogrzeb chrześcijański — rozumowali starsi kmiecie i zachęcali do dalszych wyników.

Dobrze już było po południu, gdy nareszcie

odwalono pierwszą płytę kamienną, a po niej drugą, trzecią i dalsze.

Z lochu nie odezwał się żaden głos ludzki.

Kmiecie spojrzeli trwożnie po sobie i przeżegnali się pobożnie.

— Szkoda naszej pracy — mruknął jeden z nich.

— Jeszcze niewiadomo — oburzyli się inni. — Trzeba zajrzeć do jamy.

Nachyliło się kilku odważniejszych, ale wszyscy oni cofnęli się z odrazą.

— Coście tam dostrzegli?—zapytano trwożnie.

— Straszne rzeczy — jęknęli w odpowiedzi. — Same węgle, same trupy, zbite w jedną masę, że nawet rozpoznać trudno.

— Wydobyć i wynieść na dwór! — wołano z różnych stron.

Stało się temu wołaniu zadość i powoli wyciągać zaczęto z lochu skłębione ciała dzieci. Wydobyto ich tylko trzy, gdy zaś zabierano się do dalszej roboty, potrzeba było przywołać więcej ludzi, ciężar bowiem okazał się wielki i nikt nie wiedział, kogo wyciągają na wierzch. Była to jakaś masa skłębiona i potworna. Ostrożnie, z trudem wyniesiono ją na dwór i tu dopiero

po bliższem wpatrzeniu się rozpoznano, że tę bryłę tworzyła dziedziczka włości, tuląca do swoich piersi dwoje najmłodszych i najbezradniejszych dzieci.

Ogromna żałość odmalowała się na twarzach robotników, a łzy popłynęły z oczu kobiet.

— Brak jeszcze jednego, a jak się zdaje, najstarszego syna — zauważył ktoś z boku.

— A jakże! Mądrze mówisz. Trzeba jeszcze szukać.

Pośpieszono tedy jeszcze raz do lochu, ale długo wysilano wzrok, zanim w samym kącie jamy dostrzeżono wielki kamień, jakgdyby przedzielający loch na dwie połowy. Widocznie ten kamień zwałił się albo przy budowaniu jamy, albo też padłszy pod ciężarem walących się gruzów, stworzył tę sztuczną przegrodę.

— Odwalić kamień! — rozległy się znów nawoływania.

Zrobiono to z wielkim wysiłkiem i większą jeszcze ostrożnością, wszyscy bowiem byli już prawie pewni, że za tym głazem znajdują ostatnie z dzieci, zwęgloną, nową bryłę.

Jakież więc zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy po odwaleniu kamienia ujrzano w stojącej pozycyi, przyciśniętego do ściany najstarszego

z Toporczyków Krzekotowskich. Odzież jego była nietknięta, na twarzy, włosach, nogach żadnego śladu opalenizny.

— Cud, cud prawdziwy!

— Opatrzność czuwała nad uratowaniem rodu! — wołano i radość ogarnęła całą gromadę.

Trwała ona jednak niedługo. Przyciśnięty do ściany chłopiec zachwiał się nagle i jak kłoda runął na ziemię, szczęście jeszcze, że głową nie uderzając o kamień. Znow kilka młodych wskoczyło do lochu i uniosło w górę bezwładnie leżącego chłopca.

— On jeszcze ciepły! — krzyknięto z dołu, a z góry odpowiedziano: — Prędeż, śpieszcie się, może się go da jeszcze uratować.

— O Jezu, Jezusieńku! — lamentowały kobiety. — Ulituj się nad nami. I Ty, Bogarodzico, dopomóż w nieprzebranej dobroci swojej.

W zapasach piwnicznych, które ocalały szczęśliwie od ognia, odszukano natychmiast konwię starego miodu i po kilka kropel wlewano w usta chłopca. Baby nacierały ręce i nogi, ażeby poruszyć krew, a wszystko to razem, w połączeniu z dobroczynnem działaniem świeżego powietrza wiosennego, sprawiło, że Przemko drgnął i otworzył do połowy oczy.

— Żyje, żyje!

Zapomniano o tamtych ciałach zwęglonych, leżących przy stodole i pośpiesznie zaczęto słać wygodne łoże z chrustu i liści, na którym każdy byłby rad położyć, co tylko miał na sobie, byle tylko młody doznał wygód.

Te okrzyki: „Żyje“ posłyszał Kuba z Czarnotek i ocknął się nagle.

— Dzięki ci Boże! Żyje i żyć będzie, a kiedy dorośnie, wtedy pomści krzywdy, wyrządzone jego rodowi i jego ojczyźnie — mówił starzec słabym głosem. Teraz spokojnie już schodzę ze świata, cóż mi zresztą z tego nędznego życia, gdy nawet oczy mam wypalone i gdy nie będę już nigdy mógł oglądać słońca, pól zielonych, bieli śniegów i szumiących borów naszych? Niestraszna mi śmierć, żyłem długo, choć dopiero pod koniec żywota dojrzałem tyle ohydy.

Stary oddychał ciężko i zatopiony w myślach zdawał się usypiać. Nagle zerwał się raz jeszcze, a wydobywając ostatek sił z piersi, zawołał, jakby pragnął, ażeby głos jego dotarł do uszu wybawionego cudem chłopca:

— Przemko, bądź naszym mścicielem! Błogosławię cię na tę drogę.

Kuba z Czarnotek opadł znów na posłanie,

sapał przez chwilę, wreszcie zasnął, tym razem już na wieki.

W tej samej chwili docucono się osłabionego Przemka.

Dumając nad starym przyjacielelem rodziny, który go pierwszy dosiadać uczył konia, wywijając dzidą, nacierać kołczanem, strzelać z łuku, przypominając sobie oblicze dobrej matki, ukochanych siostrzyczek i braci, Przemko siedział teraz w lesie i zapominał o całym świecie bożym, o dziadku, który poszedł w gąszcze, i o tem, że głód ścisnął mu wnętrzności. Rozległ się też głos rogu i Przemko nie słyszał go wcale, aż dopiero, gdy po raz drugi, jeszcze głośniejsze zabrąło w lesie, chłopiec ocknął się, zerwał na równe nogi i zaczął dążyć w stronę, z kąd dochodziły coraz bliższe odgłosy. Niełatwa była to przeprawa, ciemno bowiem tak się już zrobiło, że choć oko wykół, nie było widać, oprócz drzew, chmielów, zarośli.

Nareszcie dotarł do małej polanki, na której czekał niecierpliwie dziadek.

— Tu będzie nam najlepiej — rzekł. — To drzewo, które tu stoi, ma takie potężne wydrążenie, że nietylko my obaj, ale jeszcze więcej ludzi mogłoby się wygodnie pomieścić, nie napróż-

no też mówiono u nas, że w tych stronach napotyka się olbrzymy, w których jeździec z koniem wykonywaćby mógł różne obroty. Zanim jednak udamy się na spoczynek, potrzeba się nieco posilić, o ile, oczywiście, znajdą się jeszcze jakie zapasy w twoich sakwach podróżnych.

Przemko zdjął torby z pleców, a sięgnąwszy do ich wnętrza, wydobył parę dużych kołaczy, kawał słoniny solonej i rybę wędzoną. Znalazła się także manierka z miodem.

— Tylko ostrożnie, mój chłopcze — uśmiechnął się dziadek—gdybyśmy bowiem jeszcze jutro mieli nie odnaleźć starego bartnika, przyszloby chyba przymierać głodem.

— Wystarczy nam, wystarczy—odparł chłopiec również z uśmiechem—a mnie lżej będzie dźwigać te zapasy.

Deszcz na dobre się rozpadał i siekł po twarzach i rękach, nie zważali jednak na to nasi podróżni i może żadna biesiada nie smakowała im tak dobrze, jak po drodze jadło w odległej puszczy nad granicą Prus, podbitych ogniem i mieczem przez panoszące się coraz więcej Krzyżactwo. Raźniej też zrobiło się po tej uczcie, a usta rozwiązały się staremu, który młodzieńcowi opowiadał o różnych swoich przygodach i wędrówkach po świecie.

Bywałcem bo niezwykłym na owe czasy, gdy drogi komunikacyjne tworzyły przeważnie rzeki i źle utrzymane gościńce, był stary Jan z Krzekotowa. Wszakże to on wraz z innymi przedstawicielami znakomych rodów wielkopolskich witał córkę Loisową, gdy z Węgier dążyła do Polski, ażeby objąć tron, który dzierżył ostatni z Piastów, a dziad jej, Wielki Kazimierz. On również własnymi oczyma patrzył na chrzest Jagiełły i uczestniczył w uroczystościach weselnych najpiękniejszej z dziewięć ówczesnych z dziedzicem potężnego, lecz nieszczęśliwego państwa litewskiego.

Miał więc o czem opowiadać ten mądry w radzie, a odważny w polu Toporczyk, tem więcej, że wdzięczny słuchacz i jedyna pozostała lato-rosł rodu wchłaniał w siebie każde posłyszane słowo.

— Trzeba wam było, dziadku, pojechać teraz do króla Jegomości — ozwał się Przemko, rwąc w rękę kawał ryby.—Może przypomniąłby was sobie i pomścił nasze krzywdy.

— Za stary już jestem—odparł Jan—zresztą pojechali do Krakowa inni i opowiedzieli dokładnie o wszystkich ohydach krzyżackich. Król Władysław, jako pan sprawiedliwy i do-

bry, zapalał strasznym gniewem i natychmiast wyprawił poselstwo do Wielkiego Mistrza, żądając usprawiedliwienia. Chytry Krzyżak wyparł się wszystkiego w żywy kamień, oburzył się nawet, że ich świątobliwy zakon mógł popaść w takie podejrzenie. Ci łupieżcy i grabieżcy, jak twierdził, nie byli wcale Krzyżakami, lecz może bandą opryszków, szukających przygód i rabunku, albo może nawet odłamem hordy tatarskiej, która aż tak daleko zapuściła swoje zagony.

— I król temu uwierzył? — zdziwił się Przemko niepomiernie.

— Może i nie uwierzył, kto to z nas wiedzieć może, co myśli i jakie plany snuje mądry Jagiełło? To jedno wiem tylko, że dzień sądu, dzień pomsty, zbliża się dla tego Krzyżackiego gadu, dałby też Bóg, ażebym przed śmiercią jeszcze ujrzał tryumf naszego oręża i pogrom tego plugastwa. Ale sami przyłożyć musimy rękę do wielkiego dzieła. Oto powód, dla którego dążymy w samo mrowisko.

Stary Jan powstał.

— Dostyc tych gawęd, trzeba odpocząć—zawołał.—Zanim jednak schowamy się do dziupli, potrzeba jeszcze naznosić drzewa, chrustu,

a może znajdują się też jakie pnie i kłody, ażeby niemi zatkać otwory. Przezorność nigdy nie zawadzi, a w nocy zwierz i padalec straszniejszy, niż we dnie.

Materyału do zamknięcia otworów nie szukano daleko, nie upłynęło też wiele czasu, gdy podróżni spuścili się w głąb wydrążonego drzewa, mając nad głowami sztucznie zrobiony dach, którego rozwalenie z góry wymagałoby sił wielkich i zręczności niezwykłej.

ROZDZIAŁ II.

U starego bartnika.

Zmęczeni kilkodniowym pochodem, nie dziwnego, że usnęli mocno dziadek Jan z Krzekotowa z wnukiem swoim Przemysławem. Ciepło im było i wygodnie, a miejsca aż nadto do względnie znośnego wyciągnięcia kości. Że zaś doświadczony dziadek tak zgrabnie zbudował dach, iż nawet kropla deszczu nie przeciekła do wnętrza, więc wysychało też odzienie, a tym sposobem zmniejszała się jego waga.

Jak przezorność ta nie zawadziła, mieli się Wielkopolanie przekonać prędko i dwa razy w ciągu tej nocy. W chwili, gdy najtwardziej spali w swoim ukryciu, nad głowami ich rozległo się chrobotanie, jakgdyby ktoś gwałtownie chciał rozwalić ten dach sztuczny.

Stary Jan, czujniejszy od młodzieńca, zerwał się pierwszy i nadstawił dzidę, gotów na wszelki wypadek uderzyć w śmiałka, któremu-by się powiodło zrobić otwór. Było to jednak zbyteczne, choć śmiałków zebrało się aż dwóch odrazu. Napróżno szarpali, łomotali i gniew swój objawiali straszliwym i groźnym pomrukiem.

— Przebiegłe sztuki z tych niedźwiedzi — mruknął Jan — ale niedoczekanie wasze, ażeście nas tutaj zdusić, lub schrupać mieli po kawałku.

Ponieważ jednak ten hałas trwał już zanadto długo i przeszkadzał w spoczynku, dziadek obudził Przemka i przykazał mu unieść w górę dzidę, ażeby przez mały otwór pomiędzy kłodami i chrustem wcisnąć ostrze, a na dany znak pchnąć naprzód. Powiodło się to doskonale; dwie dzidy uniosły się w górę, a kiedy Jan zawołał:

— Żgaj!

błyskawicznym ruchem wpiły się w niedźwiedzia. Musiały ostrza ugodzić dobrze, gdyż przez otworek posączyła się krew, a równocześnie ciężkie cielsko zwierzęcia upadło na ziemię i ryk rozległ się tak straszny, że aż huczało długo

wśród dębów i buków. Potem wszystko ucichło i tylko słyhać było chrzęst łamanych gałęzi, świadczących, że napastnicy oddalają się w głąb lasu.

— Może teraz usniemy nareszcie spokojnie i prześpimy się do świtu—rzekł Przemko i ułożył się na nowo.

To samo uczynił Jan, ale raz wybity ze snu, nie mógł tak szybko, jak młody chłopiec zmrużyć powiek. Nie na wieleby się mu też to przydało, czy bowiem zwabione rykiem niedźwiedzia, czy może idąc za własnym węchem, przybiegło wkrótce wielkie stado wilków, otoczyło drzewo i przeraźliwym wyciem świadczyło o swojej obecności w pobliżu.

— A wyjście tam sobie—zaśmiał się Jan—niestraszne nam to wcale, może nawet przy tej muzyce spać nam się będzie lepiej.

Pocieszał siebie i wnuka temi słowy stary, obaj jednak wybici już byli ze snu, a ujadanie zgłodniałej gromady drapieżników trwało tak długo, że dobrze już pewno było po północy, gdy nareszcie cisza zaległa naokół. O tej porze zaczął też ustawać deszcz, a kiedy świt nastał, promienie słońca muskały liście, na których osiadły krople dżdżu.

Stary Jan przebudził się pierwszy, a popatrzywszy z lubością na twardo śpiącego wnuka, zmówił ranne pacierze i ostrożnie wymknął się z nory, pozwalając chłopcu odpocząć jeszcze.

Znalazszy się znów na ziemi, rozejrzał się przedewszystkiem, ażeby odszukać ślady, które nazaczył wczoraj. Po niedźwiedziach pozostały znaki w postaci wązkiej strugi krwi, niby dróżka maleńka, wiodącej w głąb knieji.

Stary przyłożył wreszcie róg do ust i zagrał tak silnie, że zerwały się ptaki z swoich gniazd i skrzecząc, łopocząc skrzydłami, krakając, okrążały kołem drzewo i polankę. Na ten dobrze znany odgłos, zbudził się także Przemko i za chwilę stanął przy dziadku. W pobliżym strumyku wymyło się, poprawiono odzież i łyka, pożywiono się trochę i w tym samym porządku ruszono naprzód.

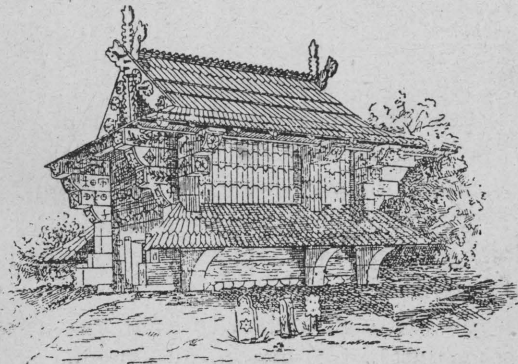
I znów szli nasi wędrowcy leśni, raz jeszcze, gdy słońce stało już wysoko, urządzając popas.

— Nie zmyliłem drogi—upewniał Jan.—Są tropy i trzymam się ich dobrze, niezadługo też powinniśmy się znaleźć u kresu.

Dodało to obu sił, kroczyli więc raźnie, aż wreszcie wydostali się na łąkę, na której od razu znać było ślady pracy rąk i głowy ludzkiej. Wyszli więc najpierw na ścieżkę, po której obu

stronach widać było przyorane już kawałki ziemi, a idąc jeszcze dalej, ujrzeli uprawne smugi i wijącą się wśród nich drogę z wyjeżdżonymi torami. Zdaleka widać było sad owocowy, a w nim rozstawione ule w tak wielkiej liczbie, że chyba parę dni potrzebaby na to, ażeby je wszystkie obejść i obrachować.

Pomimo takiego zagospodarowania wszystko wyglądało raczej na sadybę czasowych mie-



Starodawna gontyna słowiańska.

szkańców. Tu i owdzie stał szałas, zbudowany z drągów o pokryciu z chrustu, czy to jednak było mieszkanie zwierząt domowych lub drobiu, czy też siedziba człowieka, trudnoby było odgadnąć.

Jan z Krzekotowa przystanął, nie wiedząc w którą na razie obrócić się stronę. Z kłopotu tego wybawiło go ukazanie się małej dziewczynki, która trwożnie, a zarazem ciekawie, choć z pewnej oddali przyglądała się przybyszom.

— Czy jegomość Łukaszko jest w domu?— zawołał.

Nie posłyszał odpowiedzi. Wystraszone dziewczę pomknęło, jak sarna i zniknęło w jednym, a bodaj największym z domów, posiadającym strzechę słomianą i drzwi duże, zamknięte na skobel. Dym wydobywał się z tego domu na zewnątrz, z czego osądził Jan, że chyba tutaj musi być właściwy dom mieszkalny, więc też w tę stronę skierował swoje kroki.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się odmykając drzwi, na co odpowiedział mu głos z wnętrza:

— Na wieki.

Osoby, która to wymówiła, nie dojrzał przybyły, po otwarciu bowiem drzwi buchnęła para, która nie pozwalała przeniknąć do środka izby. Wszedł zatem, zamknął drzwi i dzięki otworowi, zrobionemu z boku, a naśladowującemu okienko, spostrzegł kobietę niemłodą, kręcącą się około ognia, przy którym prażyły się w mleku kulki z mąki.

Jan z Krzekotowa powtórzył pytanie o Łukaszka, kobieta jednak, która porzuciła na chwilę zajęcie przy ogniu, nie odpowiedziała wprost, lecz rzuciła również pytanie:

— A zdaleka to bogowie prowadzą?

— Nie bogowie, ale Bóg, w Trójcy Jedyny, zawiódł mnie w wasze strony. Nie poganinem też jestem i nie z Litwy do was przybywam, lecz z Wielkopolski, z tych samych stron, z których wywodzi się mój stryjec herbowy Łukasz z Dębicza—odparł Jan, a snadź tyle dumy i pewności siebie było w tym gościu, zakutym w skóry i w łapciach łykowych na nogach, że kobieta podbiegła, schyliła się, objęła je, a rękę jego poniosła do ust.

Natychmiast podstawiła dwa stołki, zachęcając życzliwie:

— Siadajcie, proszę, miłościwy panie. Dobrodziej Łukasz wyjechał przed trzema dobami za granicę pruską, już wczoraj czekaliśmy na niego, więc dziś wróci pewnością. Zaraz postawię miś, to pożywicie się i ogrzejecie.

— Bóg ci zapłać, dobra kobieto—rzekł Toporezyk.—Poczekać nietylko mogę, ale muszę, bom niedarmo przewędrował daleki szmat dro-

gi. I jadłem nie wzgardzimy, bośmy już od wielu dni nic ciepłego nie mieli w ustach.

Kobieta była serdeczna, usłużna i gościnna, ale snadź w dobrej Łukasz z Dębicza trzymał ją szkole, na rozmaite bowiem podpytywania dawała wymijające odpowiedzi, a nawet raz, choć z kmieckiego pochodząca stanu i wobec herbowego powinnaby się zachować z pokorą, zrobiła znienacka uwagę:

— Miłościwy pan jest nieostrożny, a tu szpiegów kręci się nokoło moc wielka. Tu naszym językiem mówi się tylko w tym szalasie, a tam na dworze i w osadzie, niemiecka panuje mowa. Niema tu żadnego jegomościa „Łukasza z Dębicza“, jest tylko „Lux von Dembitz“.

— To już chyba z moim wnukiem udamy niemowy — zaśmiał się Jan z Krzekotowa — bo my tylko po ludzku umiemy się rozmówić.

Stary rozweselił się, a kiedy jeszcze wysączył resztę miodu ze swoich własnych zapasów, żartował i śmiał się, jakgdyby mu nic nie ciążyło na sercu. Przemko nie ustępował dziadkowi i bawił się z dziećmi, których tu było sporo, a wśród nich jeden rówieśnik i owa dziewczynka, którą to pierwszą spotkali przy wkroczeniu do zagrody.

Dzieci wybiegły wkrótce na dwór, hasały po łące, a stary powlókł się do uli, oglądał całe obejście, zajrzał i do koni i do chlewni, przyglądał się drzewom owocowym i skracał sobie w ten sposób czas oczekiwania na gospodarza tego domu i dziedzica tej w gąszczu leśnym ukrytej zagrody.

Jan z Krzekotowa wiedział widocznie coś niecoś o takich wyjazdach Łukasza z Dębicza, albo, jak tutaj go nazywano, Luxa von Dembitz, nie zdziwił się też wcale jego nieobecnością, a uzbroiwszy się w cierpliwość, postanowił siedzieć tak długo, aż doczeka się powrotu. Na szczęście cierpliwość nie była też na szwank narażona, nie zaszło bowiem jeszcze słońce, gdy na drodze od przeciwnej strony lasu zarysowała się postać jeźdźca, na wysokim, tęgim, mocno zbudowanym koniu. Takich rumaków nie widział jeszcze Wielkopolanin, zamiast też przede wszystkim zwrócić oczy na osobę, która tego konia dosiadała, przyglądał się z podziwem okazowemu prawdziwie zwierzęciu.

Snadź daleką odbył jeździec drogę, bo koń szedł stępą, parszkając często, a pot pokrywał mu boki.

Spostrzegłszy obcą postać, Łukasz z Dębicza,

umyślnie konia skierował w bok i omijając szłaś, stanął w miejscu zakrytem drzewami jabłoni. Dał znak ręką i w te pędy przybiegła owa kobieta:



Krzyżak na czatach.

— Kto to taki? — zapytał cicho, oczyma wskazując na przybysza.

— Nie wiem — odparła również szeptem — nie powiedział swojego nazwania, oznajmił tyl-

ko, że przybywa z waszych stron wielkopolskich i nazwał was, miłościwy panie, swoim stryjcem herbowym.

— Hm! oni umieją przybrać na siebie skórę węża i wślizgiwać się tam, gdzie ich wcale nie potrzeba.

Po chwili namysłu dodał:

— Powiedz mu, niech wejdzie do izby, a ja rozbiore tylko konia, i wytrę go słomą, bo dzielny Migas zmęczył się dzisiaj setnie.

Kobieta spełniła rozkaz swojego pana i Jan z Krzekotowa, zostawiając na dworze Przemka, który odbiegł daleko, znalazł się znów w tej samej izbie, co poprzednio. Długo zabawiał się Łukasz koniem, nie pokazywał się bowiem, i Wielkopolanin z niepokojem to chodził po małej izbie, to siadał na stołku, to wreszcie przebierając palcami, bębnił z oznaką zniecierpliwienia po stole prostym, zaledwie wyheblowanym.

Nareszcie, gdy już zmierzch prawie się zrobił, rozwarły się drzwi i na progu stanął krępy, szeroki w ramionach, muskularnie zbudowany, choć niewielkiego wzrostu mężczyzna. Latami młodszy nieco od Jana, w ruchach jednak był ociężalszy.

— *Seit Willkommen!* (Bądźcie pozdrowie-

ni) — rzekł grubym głosem i przy słabym blasku wpatrzył się badawczo w twarz gościa, który uśmiechnął się tylko i odparł:

— Innego spodziewałem się powitania w domu pana brata, a mojego stryjca herbowego. U nas albo pochwała się wtedy Stwórcę, albo też powiada, że „gość w dom — to Bóg w dom“.

Łukasz nie odpowiedział, na poważnym obliczu jego przemowa ta jakgdyby nie zrobiła wrażenia, nie skinął też nawet ręką, ażeby zaprosić gościa do siedzenia. Łukasz czekał, co widząc Toporeczyk, rozpiął swoją skórzaną bundę, wyciągnął kozik i z dobrze ukrytej w rękawie lewym torebki wydobyl kawałek krwawnika, na którym niezgrabnie, ale wiernie wyryty był biały orzeł, unoszący się nad trumną św. Wojciecha.

Łukasz wziął w rękę ten znaczek, przyrzekł mu się bacznie, a oddając go właścicielowi, serdecznie uściskał rękę.

— Teraz i ja wam, panie bracie, powiem: „Gość w dom — Bóg w dom“, bo że godni jesteście uczciwego przyjęcia w mojej chacie, dowiodło mi to nasze godło. Niechajże jednak wiem, kogo witam w moich progach?

— Jan z Krzekotowa, Toporeczyk — brzmiała odpowiedź.

— Niechaj ten mój dom będzie waszym domem — serdecznie już i szczerze zapraszał Łukasz. — Nie wątpię też, że nie pusta ciekawość obejrzenia starego bartnika, który rzucał wszystko, dostatki, włości i licznych poddanych, ażeby okupić ciężkie przewinienia względem Boga i Ojczyzny, a który objął straż na pograniczu i czuwa nad całością naszego kraju, zawiodła was w te strony.

— To pewna, że tak jest, jak mówicie — zapewnił Jan. — Jam nie sędzia i nie mnie karać was za zbrodnie, o których może więcej mówiono i srożej je potępiano, niż one na to zasłużyły. Młodość tłumaczy wiele, a wam, panie bracie, grała w żyłach krew rycerska. Gdzież to takiemu usiedzieć w cichej naszej Wielkopolsce. Ha! gdybyście teraz tam przebywali, sposobności do rycerskiego harcu nadarzyłyby się bez liku, ale wtedy? Boże drogi! Czyż się dziwić, że gdy dumny Domarat odmówił wam swojej córki, wam, Toporeczkowi, i gdy nawet psami pono wyszczuć kazał, zbuntowało się serce wasze? Pociągali Krzyżacy ku sobie, pociągała świetność Zakonu, niezwykłość ich bojowników, przystąpiliście do nich, porzuciliście rodzinę, wyrzekliście się ojczyzny, na-

zwiska, wszystkiego i zastępniliście jako rycerz Zakonu. Mówią nawet, że Krzyżakom nie powstałoby w głowie najeżdżać i łupić naszą ziemię, gdyby nie wasze namowy.

Jan z Krzekotowa jakby zastanowił się, że zanadto puścił wodze językowi, spojrzął na gospodarza, który siedział obok z oczyma w podłogę zapatrzonemi, i umilkł nagle. Ale Łukasz z Dębicza podniósł w tej chwili oczy w górę, a biorąc gościa ciepło za rękę, rzekł:

— Mówcie, to mnie nie boli. Niech wiem przynajmniej, jaką niesławą cieszę się w ziemi rodzinnej.

— Niesławę można zgnieść, wytępić, można przywrócić sobie dobre imię późniejszym życiem bez skazy, a nie wszyscy, ale już wielu dobrze wtajemniczonych wie o tem, że wy, panie bracie, gorliwie pracujecie nad tem. Przecież u Krzyżaków czekały was zaszczyty, może komturem, a może nawet samym Wielkim Mistrzem byli by was obwołali, gdy rozum przyszedł do głowy i gdy pojęliście, że nie Domarat jest tu krzywdzony, ale cała ojczyzna nasza. Wtedy zrzuciliście z siebie płaszcz biały z krzyżem i pod pozorem, że was nęci życie pustelnika, osiedliliście w tej puszczy głuchej, zajmując się

bartnictwem, a właściwie dopomagając naszym do starcia z ziemi, zdeptania tego krzyżackiego gadu.

— Ciszej, ciszej, panie bracie — zawołał Łukasz. — W tej chacie są szczeliny, goście podejrzani nawiedzają mnie często i chociaż robię wszystko, ażeby na mnie z ich strony nie padł nawet cień podejrzenia, czuję, że stosunki moje z Czantyrem¹⁾ chłodną. Może coś wietrzą, a może to tylko przywidzenie? Najlepiej tedy będzie, panie bracie, gdy poniechamy teraz rozmowy o tych sprawach i o powodach, które was do mnie przywiodły. Zdrożony jestem i głodny, niczem wilk po Bożem Narodzeniu.

— Babo! — zawołał. — Przygotuj nam wieczerzę, a dobrą i obfitą, ażeby nasz gość przeznaczony nie skarżył się na nas.

— To dziwne — wtrącił Jan. — Powiadacie, że niebezpiecznie używać tutaj innego, niż niemiecki języka, a przecież sam i służbę trzymacie polską i po polsku do niej przemawiacie.

— Mnie i moich domowników znają i wiedzą, że jesteśmy z rodu Wielkopolanie, którzy

¹⁾ Czantyr — dawna nazwa Malbarga, vel Marienburga. (Przyp. aut).

zaprzedali się Zakonowi, na obcych jednak zwracają uwagę, a wywiadowców mają dobrych i podejść ich trudno. Dużo rzeczy mógłbym o tem opowiedzieć, zostawię to jednak na później, gdy po wieczerzy położymy się sami w tej przyległej komorze.

Kobieta zwijała się żwawo, a dwaj starzy mężczyźni skracali sobie czas gawędą o rzeczach obojętnych, o gospodarstwie, o pasiece, o wyrobie miodu, o sposobie łowienia ryb i t. p., a słowa padały takie obojętne, że nawet najwytrawniejszy wyżeł krzyżacki nie zwąchałby żadnej wobec Zakonu przewiny. Tak samo upłynął czas przy wieczerzy, która aż zdumiewała Jana z Krzekotowa obfitością i smakowitością wydobytych z bogato zaopatrzonej spiżarni wędlin, mięsa, ryb i trunków, pędzonych z owoców i miodu.

— Na dworze królewskim chyba nie jadają lepiej — rzekł Toporeczyk, wynagradzając sobie teraz trudy, niewygody i przymieranie głodem podczas długotrwałej podróży.

— Nie ma tu żadnych przysmaków zamorskich — zaśmiał się gospodarz — zgarniam tylko pracowicie to, co ziemia daje, a że ona dobrą jest żywicielką, więc nie dziw, że łąko-

mie spoglądają na nią wrogowie i chcieliby ją osiąść.

— Nie damy jej — zawołał Jan i zacisnął pięści.

Jak długo biesiadowano przy stole, któżby to liczył? Starym dobrze było przy gawędce, jeden tylko Przemko nudził się, poprawiał na stołku i poziewał. Inaczej wystawiał sobie spotkanie z bartnikiem, o którym dużo i tajemniczo mówiono w domu; inne też spodziewał się posłyszeć rzeczy, aniżeli te, które teraz wpadały do jego ucha. On pragnął dowiedzieć się czegoś o Krzyżakah, o Malborgu, o zbrojach i bogactwach Zakonu, a tutaj rozprawiano sobie, jak gdyby nigdy nic się nie stało, o zwykłych kłopotach gospodarskich. Po to doprawdy nie warto się było trudzić, w domu zażyć można tego samego.

— Teraz młodym przygotuj spanie, babo — odezwał się Łukasz — a dla nas pościel dobrze w komorze.

Zwracając się do gościa, dodał:

— Mam zwyczaj przed udaniem się na spoczynek, raz jeszcze obejść całą sadybę i tam na dworze zmawiać swoje wieczorne pacierze. Zostańcie w izbie, zrzucicie z siebie to odzienie,

które aż przyklepiło się do skóry i ułóżcie się na posłaniu, a gdy wrócę, pogadamy sobie obszerniej.

Łukasz powstał i skierował się ku wyjściu, a przeprowadzony przez starą Elszkę, gość znalazł się w przyległej komorze z okienkiem u samej góry bocznej ściany. Noc była jasna, księżycowa, więc też blade i słabe światło docierało do izby.

— Dobrze wam, panie bracie? — troskliwie zapytał Łukasz po powrocie.

— Toć w domu lepiej nie sypiam — odparł gość — a niecierpliwość mnie już pożera usłyszenia z ust waszych nowinek i wyłuszczenia wam powodów mojego przybycia.

— Całej nocy nie starczyłoby, gdybym wam wszystko chciał opowiedzieć, to tylko powiem, że straszne czekają nas czasy i wielka przygotowuje się wojna. Nic jej nie wstrzyma. Może się tylko odwlec na lat kilka, lub kilkanaście ta rozprawa nekanej Polski i Litwy z coraz więcej rosnącym w potęgę i bogactwa, a chcącym nowych zdobyczy Zakonem, ale do starcia przyjść musi.

— I jak myślicie? Kto wyjdzie zwycięzcą? — ciekawie zapytał Jan.

— Ten zwycięży, kto się będzie rządził zgodą i karnością i kogo Bóg będzie chciał wynagrodzić za służenie mu wierne i za życie cnotliwe — odparł poważnie Łukasz. — Boję się o naszą Polskę.

— Na Boga! — zawołał Toporczyk — Czyby Stwórca odwrócić miał od nas Swoje oblicze, czyż takim grzesznym jesteśmy narodem?

— Tego nie mówię, ale patrząc na to, co się dzieje po jednej i drugiej stronie, widzę u Krzyżaków ład, karność, wielki porządek i nagromadzenie bogactw, które zawsze jedną przyjaciół; u nas zaś ciągle swary, zatargi, wywyższanie się jednych ponad drugich i niezgodę, która rozprzęga i zawsze staje na opak wszystkim najpiękniejszym zamiarom. Tylko w połączeniu się z Litwą targnąć się można na potęgę krzyżacką, a czyż Wielkiego Księcia Witolda, który powielekroć razy jednoczył się z Zakonem, uważać można za pewnego sojusznika? Dopóki żyła królowa Jadwiga, łagodziła wszystko, ale ta dobra pani zamknęła niedawno powieki ¹⁾, trzeba więc na wszystko się przygotować.

¹⁾ Opowiadanie nasze rozpoczyna się w drugiej połowie 1397 roku. (*Przyp. aut.*).

— Hufce zbiorą się dostateczne — wtrącił Jan z Krzekotowa — a i wodzem dzielnym będzie mężczy Jagiełło.

— Ale i hufce i wódz nie pomogą, gdy nie będą znali przeciwnika, jego sposobów walki i chytrych przebiegów — odparł Łukasz. — Potrzeba dopiero pójść śmiało w to gniazdo osi i szerszeni, przyjrzeć się ich robocie haniebnej i stanąć wtedy, ażeby walczyć taką samą, jak oni bronią.

— Cieszy mnie, że tak mówicie — zawołał Jan uradowany. — Właśnie i u nas mówią, że dobrzeby było, gdyby młodź naszą pchnąć do Krzyżaków na naukę rycerskiego rzemiosła. Zebraliśmy też u siebie, w Srodzie, walną narađę i postanowiliśmy wyprawić tymczasem czterech młodzieńców, którym ufać można, że nie zawiodą i że nie pozwolą się olśnić blaskowi Zakonu, lecz wiecznie będą tylko pamiętali o tem, że pracować powinni nad zgubą Krzyżaków. Mojego wnuka, Przemka, który tu ze mną przyszedł, jestem tak pewny, że rękę dałbym sobie uciąć, iż zdrajcą ani przeniwiercą nie stanie się nigdy.

— Przecież to jeszcze dziecko? — zdziwił się gospodarz.

— Był dzieckiem swawolnym i płochem do niedawna, ale od chwili śmierci ojca, a mojego syna, który padł, powstrzymując nawałę teutońską, i od chwili, gdy sam przechodził straszne wypadki, o mało nie spalony żywcem, jak to się stało z matką niebogą i pięciorgiem rodzeństwa, jest już nie młodzieńcem nawet, ale powiedziałbym mężem dojrzałym, jedną tylko trawionym żądzą: pomszczenia krzywd rodu i kraju na tych, którzy obłudnie mienia się najwierniejszymi synami Kościoła, a którzy miecz swój w każdej chwili gotowi są pławić w krwi może lepszych jeszcze, aniżeli oni chrześcian.

Łukasz słuchał uważnie i widocznie myślał nad czemś, kiedy bowiem gość skończył, nie odzywał się dość długo, aż to zadziwiło Jana, że zapytał:

— Czy śpicie, panie bracie?

— A któżby to mógł usnąć, gdy się tyle myśli w głowie waży? — oburzył się Łukasz. — Powiadasz tedy, że wnuk wasz chciałby przystać do Krzyżaków w tym zamiarze, ażeby się wywyczyć w sztuce wojowania, a następnie swój oręż oddać na usługi Polsce? O to nie trudno. Przecież tylko w tym celu urządzają

oni wycieczki, że chcą ustawicznie powiększać swoje zaciągi. Im potrzeba ciał, któreby służyły za żer dla kul, im potrzeba piersi, w które godziłyby mogły te kule nieprzyjacielskie. Cóż jednak zrobi wtedy wasz Przemko i czem się przysłuży krajowi, jeżeli jako knecht, albo wcielony do pułku szeregowiec narażać będzie swoje życie?

— O radę was przybyłem prosić — przerwał stary Jan, a Łukasz rzucił pytanie:

— Czy słyszeliście już w Wielkopolsce o „Jaszczurkowym Związku“?

— Nie. Jakiż to związek?

— Dotąd cel jego utrzymany jest w tajemnicy, nie żądajcie więc odemnie, ażebym wam, panie bracie, opowiadał wszystko dokładnie. Tyle tylko wam powiem, że jeśli gdzie, to tutaj król Jagiełło szukać sobie powinien najzauważniejszego sprzymierzeńca. Należę do tego związku, więc to wam powinno wystarczyć. Właśnie powróciłem z obrad i tem się tłumaczy moja trzydniowa nieobecność w domu.

— Powróćmy jednak do waszego Przemka. Na knechta, lub zaciężnego żołnierza szkoda chłopca, lepiej przydać się może, pozostawszy na ziemi ojców, będąc gotowym zawsze do obro-

ny kraju przed wrogiem. Na brata zakonne-
go przyjęty nie będzie, taka godność bowiem
wyłącznym jest przywilejem szlachty niemiec-
kiej, a nie będąc zakonnikiem, nie ma praw
wyższych, ani głosu w radzie.

— Więc z niczem mam wracać do domu?—
boleśnie zapytał Jan. — Jakżeż to powiem bie-
dnemu chłopcu, który tyle poniósł trudu, tylu
zaznał mąk i taką wielką rozgorzał nadzieją?

— Jeszcze ostatnie nie padło słowo — dobi-
tnie wyrzekł gospodarz. — Potrzeba czasu do
zastanowienia się i powzięcia zamiaru. Śpij-
cie spokojnie i nie oddawajcie się zmartwieniu.
Pomyślę o tem i jutro, gdy znów sami znajdzie-
my się w tej komorze, może znajdzie sposób i ra-
dę skuteczną.

„Śpijcie spokojnie“ — łatwo to zalecać, ale
wykonać trudniej temu, którego głowa nabita
myślami. Potrzeba też było wielkiego znużenia,
jakie odczuwał Jan po podróży, ażeby wykonał
wreszcie polecenie i zasnął snem twardym, dłu-
gim, a tak wzmacniającym, że kiedy rano się
obudził, rzeźkim się czuł i lekkim. Dla miłych
gości z stron rodzinnych przygotował Łukasz
kąpiel, nie brakło także olejków wonnych, od
których jędrniało ciało, a nowa czysta odzież

od pięty aż do czuba leżała gotowa przed posta-
niem Jana i Przemka.

Dziadek, jak dnia poprzedniego, znów zajął
się sprawami gospodarczemi, wglądał we wszy-
stkie szczegóły, napróżno jednak czekał Przem-
ko na jakieś ważkie słowo, któreby padło z ust
Jana. Przeciwnie, stary, jak gdyby unikał roz-
mowy, zachęcał młodzieńca do zabawy, sam
igrał z dziećmi, śmiał się, strugał patyki i pła-
tał figle, ale nigdy nawet sam na sam nie po-
został z wnukiem. Przemko nie domyślał się
też wcale, że stary temi wybiegami chce tylko
zabić czas do wieczora, i że taksamo niecier-
pliwie oczekuje nadejścia nocy i dłuższej znów
gawędy z Łukaszem.

Nadeszła wreszcie ta noc upragniona i dwaj
stryjcowie herbowi znaleźli się znów na swoich
posłaniach w komorze.

— I cóż, namyśliliście się, panie bracie? —
zapytał Jan z drżeniem w głosie.

— Znalazłem sposób dostania się do Zakonu
dla waszego Przemka — odparł zapytany—du-
żo to jednak kosztować będzie zachodu, a nie
wiem, czy ten chłopiec zdoła wytrzymać cięż-
ką próbę.

— On zrobi wszystko, taka moc, taki hart
duszy jest w nim — zapewnił dziadek.

— Wierzę wam i ufam. Posłuchajcie zatem: Jeżeli Przemko ma dojść do czegoś w Zakonie, musi przedewszystkiem na kilka lat zapomnieć o domu, rodzinie, Polsce, nawet o języku macierzystym. Musi dalej wyrzec się nazwiska, jak to ja uczyniłem dawniej, i musi nauczyć się tak po niemiecku, ażeby nawet najwprawniejsze ucho nie dosłuchało się nic słowiańskiego. Obyczaje przyjąć musi wrogów swoich, a oddalić od siebie wszystkie nawyki i zwyczaje nasze. Czy zdolny będzie do takiej ofiary?

— Już raz wam zaręczyłem—zapewnił Jan.

— To zamało. Niechaj chłopiec przed wami zaprzysięże wszystko na krucyfik. Wytlumaczcie mu jednak, że takie rzeczy nie dokonywają się za jednym zamachem, że tu potrzeba cierpliwości, kilku, a może długich lat zaparcia się, ażeby wytrwać i przetrwać tę próbę ogniową. Nie zaraz też dostanie się do Krzyżaków, musi bowiem przejść szkołę pruską, a tę już mu obmyśliłem.

Jan z Krzekotowa słuchał ciekawie, a Łukasz mówił dalej:

— Wspomniałem wam wczoraj o „Jaszczurkowym Związku“ tam też zamierzyłem udać się po pomoc. Słaby to jeszcze związek i wą-

tle jego siły, ponieważ jednak ci, którzy go tworzą, bronią słusznej sprawy i pracują nad obaleniem wszechwładzy Krzyżactwa, więc za rok, dwa, albo za lat kilka zyska napewno wielką liczbę zwolenników i stanie się potęgą, groźną Zakonowi. Pomiędzy najgorliwszymi członkami do przyjaciół moich należy zwłaszcza rycerz Egon von Utenrode, Prusak, którego ród długo opierał się przemocy krzyżackiej, a wreszcie legł pod stopami zwycięzców. Już ojciec Egona zasłużył się dobrze zakonowi, a syn wychowany został w uwielbieniu dla Zakonu. Ale i na niego przyszła rozwaga i chwila opamiętania, a rozczytując się w starych dokumentach rodowych, innego nabrał przekonania. Dziś jest to wróg Krzyżactwa, niegorszy odemnie, chociaż tego nie domyśla się nikt w zamku malborskim. Wstęp do komnat Wielkiego Mistrza jest zawsze dla Egona wolny, we wszystkich ważnych sprawach zasięgają jego rady, a nawet dopuszczają do tajemnic, które dla poważnych członków zakonu bywają strzeżone. Nie wiedzą oni — zaśmiał się Łukasz z radością — jakiego lisa wpuścili do swojego kurnika.

— A w jaki sposób ma ów rycerz podjąć się wychowania mojego Przemka? — zapytał z zdziwieniem Toporezyk.

— W tem już moja głowa — z pewną dumą odrzekł gospodarz. — Egon jest bezdzietny i wiadomo, że oddawna szuka jakiegokolwiek latorośli liczego niegdyś rodu, ażeby przelać swoje mienie i nazwisko. Cóż więc łatwiejszego, jak waszego Przemka oddać Zakonowi, ni by owego odnalezionego nareszcie krewniaka i domniemanego następcę swojego? Wtedy Krzyżacy przyjmą go otwartemi ramionami, jak swojego, jak brata. Egonowi von Utenrode uwierzą, zwłaszcza, gdy Lux von Dembitz, takie bowiem u nich noszą nazwisko, w porę rozpuści wieści o odszukaniu młodzieńca, o jego rozumie, męstwie, przebiegłości i rycerskiem sercu. Na ten lep pójdą, ale najpierw potrzeba, ażeby Przemko parę lat przebył na zamku któregokolwiek z wtajemniczonych w nasze plany członków „Jaszczurkowego Związku“.

— Parę lat — westchnął stary Jan i powtórzył — parę lat. I przez ten czas mam nie oglądać tego najdroższego chłopca, tej jedynej pociechy. To okropne. Mam wprawdzie córkę, a z niej kilkoro wnucząt, ale to już nie Toporczyki, nie tak blizcy sercu. Wielka to ofiara, pozwólcie zatem, że dobrze sobie w głowie rozważę, a jutro dam odpowiedź stanowczą.

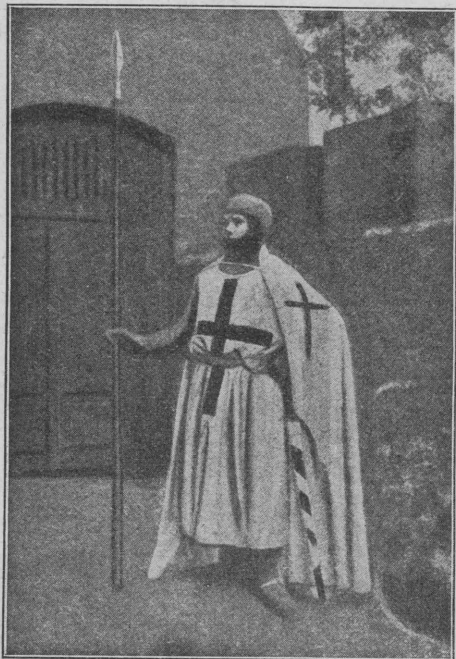
— Przecież nikt was nie zmusza—zawołał Łukasz — sami prosiliście o to, innej drogi nie widzę. Dlaczego zaraz jutro macie postanawiać, możecie się wstrzymać przez kilka dni. Nic nas nie goni, chata bartnika Łukasza stoi dla was otworem, a czem będzie bogata, tem i rada. Zresztą zanim poweźmiecie uchwałę, dobrze wybadajcie Przemka i przedłożcie mu wszystkie trudności.

— Usłucham waszej rady — rzekł Toporczyk i podziękował za dobre serce.

Milczenie zaległo w komnacie, od czasu do czasu tylko dolatywało ztamtąd westchnienie, świadczące, że jeden ze starych długo nie mógł zasnąć.

Kilka dni następnych przepędził stary Toporczyk z wnukiem w lesie, a zaszywszy się w głąb zarośli — cichym głosem wiódł z nim rozmowy. I dobrze robił Jan z Krzekotowa, nietylko że badał i próbował młodzieńca, ale że zniknął z nim i ukrywał się przed okiem ludzkim, nie było bowiem ani ranka, ani popołudnia takiego, ażeby do pasieki nie zaglądali różni włóczęgowie, często ludzie, udający ślepotę, lub inne kalectwo. Wszyscy oni odbywali z Łukaszem krótkie narady na uboczu, w umy-

ślnie na ten cel urządzonej jamie podziemnej, wszyscy też z widocznym szacunkiem zachowy-



Knecht krzyżacki.

wali się wobec bartnika, który rozsyłał ich na różne strony z rozkazami.

Przybywali tu także różni panowie niemiec-

cy, a raz nawet po przez odchylone gałęzie dostrzegli Jan z wnukiem biały płaszcz z krzyżem. Jak wicher wpadłszy do sadyby, rycerz ten z wielkimi honorami przyjmowany był przez bartnika, śmiał się też wesoło, wypił kilka czar miodu, pochodził, popatrzył i dosiadłszy szybkonogiego rumaka, pognął w świat. Toporczyk dojrzał, że choć Łukasz ścisnął się serdecznie z tym przybyszem, to jednak po jego odjeździe splunął z obrzydzeniem.

— Jaką robotę ten Łukasz prowadzi i co to wszystko znaczy, doprawdy objąć moją słabą głową nie mogę—dumał stary Wielkopolanin— to pewna jednak, że on tu w tej od świata odciętej pasiece wie więcej i lepiej, co się dzieje na świecie, niż nasi panowie w Poznaniu, Inowrocławiu, Gniewkowie, Łęczycy, a może nawet przy boku królewskim w Krakowie.

Łukasz nie nalegał o odpowiedź, Jan zaś do brze badał wnuka, aż wreszcie postanowił rozmówić się ostatecznie.

Wieczorem tedy, gdy znów wedle zwyczaju, pozostali sami jedni w komorze, odezwał się pierwszy Toporczyk, a rzekł dobitnie i krótko:

— Jesteśmy gotowi. Oddaję Przemka w wasze, panie bracie, ręce.

— Bóg wam zapłać za tę wiarę i ufność—
odparł Łukasz. — Jutro przygotujemy wszystko do przysięgi, a pojutrze udam się z waszym chłopcem w drogę do Prus.

ROZDZIAŁ III.

Przysięga.—Na zamku „Jaszczurkowego Rycerza”.

Po raz pierwszy może w życiu zdarzyło się staremu i doświadczonemu Janowi z Krzekotowa, że drżał, jak liść osiki, gdy Łukasz robił zaczął przygotowania do odebrania przysięgi na wierność ojczyźnie od wybierającego się w służbę do Niemców chłopca.

— Może to niepotrzebne? — ośmielił się wtrącić. — Dla czegoż tyle zachodu, tyle okazałości? Czy nie wystarczyłoby proste zapewnienie słowem uczciwego człowieka?

— W tym wypadku będę niezłomny—rzekł Łukasz stanowczo.—Dla nas, starych i doświadczonych, jeszcze taka uroczysta przysięga miałaby wielkie znaczenie, a cóż dopiero dla młodego, wrażliwego umysłu? Im więcej uroczy-

stości, im więcej powagi, tem bardziej wryje się ta chwila w pamięć takiego chłopca i nawet umierając przypomni sobie ten dzień, albo raczej noc ostatnią, spędzoną na granicy polskiej ziemi u starego bartnika.

Jan z Krzekotowa nie poznał komory, w której dotąd sypiał, gdy o północy, jak tego żądał Łukasz, dopiero wszedł tutaj, prowadząc Przemka za rękę. Pomimo, że ciemno było na dworze, zasłonięto jedyne okienko, ściany wyłożono ciemną tkaniną, podłogę posypano leśnymi kwiatami jesiennymi, a na wprost drzwi ustawiono z desek rodzaj ołtarzyka, po którego bokach jarzyły łuczywa, rzucając blask oślepiający.

Ku swojemu zdziwieniu spostrzegł Toporczyk, że nie zamknięto wszystkiego w ciasnych ramach domowników, przy ścianach stali bowiem trzej mężczyźni, umyślnie w tym celu sprowadzeni, a zaufani powiernicy Łukasza. Jeden z nich był to lirnik aż z Rusi Czerwonej, którego śpiew smętny mile bywał słuchany na ziemi pruskiej, drugi, niski i krępy Litwin, zajmował się leczeniem koni i również docierał do zamku Malborskiego bez przeszkód. Trzeci wreszcie trudnił się rozwożeniem różnych koro-

nek, szkaplerzy, talizmanów i dla swojej pobożności doznawał względów od braci krzyżowej. Aż z pod Karpatów przybiegał i znikał nieraz na czas dłuższy. Jeden Łukasz z Dębicza, stary bartnik, wiedział, co to znaczy to znikanie, przekupień też nazwany mógł być prawą jego ręką. Któż bowiem, jeżeli nie on zawoził ustne relacye na dwór królewski o wszystkim, co się działo wśród Krzyżactwa, a o czem bartnik przez swoją dobrze urządzoną służbę wywiadowczą zawsze pewne zdobywał wskazówki? Litwin, leczący konie nieznanymi nikomu środkami, czynił to samo, nie zwracał się jednak nigdy w stronę Krakowa, lecz w stronę wileńskiej stolicy. Stary lirnik z długą, siwą, jak śnieg, brodą docierał z piosenkami swojemi hen! aż na Pomorze, budził ducha, znosił różne wieści i bywało, że dla wieku sędziwego często dłużej, niż potrzeba, gościł w taborze przy pasiece.

Byli to zatem czołownicy, mający podwładnych i cieszący się największem zaufaniem Łukasza. Takich też ludzi zaprosił, ażeby uczestniczyli przy uroczystości składania przysięgi przez młodego Toporczyka.

— Czy można im dowierzać? — zapytał szeptem Jan z Krzekotowa.

— Jak mnie samemu — odrzekł Łukasz z wielką mocą.—Ci ludzie potrafiliby też strasznie zemścić się na śmiałku, któryby się odważył złamać święte przyrzeczenia swoje.

— A teraz przystąpmy do dzieła — dodał silnym głosem, zwracając się do wszystkich obecnych, poczem podszedł do Przemka i zapytał:

— Czy trwasz w zamiarze przez dziadka twojego nam objawionym? Zastanów się dobrze, że na ciężką idziesz próbę, że raczej śmierć czeka cię męczeńska, niż sława zwycięzcy. Jeszcze pora się cofnąć. Zrób to, jeżeli czujesz choć cień trwogi. Nikt za to nie rzuci na ciebie kamieniem potępienia, bo nikt też tej ofiary wielkiej nie pożąda. Czynisz tak z własnej i przez nikogo nie wymuszonej woli. Jeszcze raz pytam się zatem: Czy gotów jesteś przysięgać?

Jakgdyby wszystka krew odbiegła z jego twarzy, stał młodzieniec przed tym poważnym, starym Łukaszem i pot kroplisty, zimny, jak lód, rosił jego czoło. Coś go ścisnęło w gardle, tamowało oddech, pomimo to jednak zdobył się na siłę i rzekł cicho, ale śmiało:

— Przysięgnę.

— Przybliź się, chłopcze.

Łukasz podprowadził Przemka do ołtarzka, a sam wszedłszy na podwyższenie, ujął krucyfiks w prawą rękę, lewą zaś położył na płowych włosach chłopca i rozpoczął:

— Połóż dwa palce na krzyżu i mów za mną:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Ja, Przemysław z Krzekotowa, klejnotu Topór, zawołania Otto, przysięgam na tego Chrystusa ukrzyżowanego rany, że cokolwiek w życiu mnie spotka, nie zapomnę i nie wyrzeknę się nigdy umiłowanej mi najwięcej po Bogu ojczyzny i że choćby mnie kuszono dostojnością, obdarowywano złotem i wszystkimi skarbami tego świata, nie zrobię nigdy nic takiego, coby nie wyszło na pomnożenie chwały Polski.

Tak mi, Panie Boże, dopomóż w Trójcy Jedyny, a Ty, Bogarodzico, wiedz moje kroki.“

Przemko, odzyskawszy już panowanie nad sobą, wolno i dobitnie wymawiał każdy wyraz, potem na znak, dany przez Łukasza, powstał z klęczek, ucałował krzyż i obnażył pierś, na której stary bartnik zawiesił na blasze misternie rzeźbiony obrazek, wyobrażający postać N. M. Panny, przywiezionej przez Opolczyka i zło-

zonej na Jasnej Górze, a powierzonej straży umyślnie do Polski sprowadzonego zakonu Paulinów.

— Ten obrazek będzie ci ochroną w bojach i będzie tem wiecznem przypomnieniem złożonej dzisiaj przed nami przysięgi.

Idź teraz na spoczynek, pomódl się gorąco, ażeby Pan Wszechmocny udzielił ci sił i męztwa. Możesz odpocząć spokojnie i nacieszyć się jeszcze dziadkiem, którego daj Boże, ażebyś kiedyś znalazł przy życiu. W drogę wyruszemy dopiero jutro, czasu więc pozostało ci dosyć do pożegnania.

Stary Jan z Krzekotowa, który stał błądliwy i oczami niespokojnie wodził to po przyjacielu Łukaszu, to znów po wnuku, po tych słowach zachwiał się i byłby upadł, gdyby go stojący obok Litwin nie podtrzymał. Toporeczyk, dzielny w boju i stateczny w radzie, trząsł się całym ciałem i choć tego nie pokazywał po sobie, szlochał cicho.

Stary Wielkopolanin nie widział już teraz nic przed sobą i taki zrobił się na wszystko nieczuły, że nie miałby nawet powiedzieć, jak się ta ceremonia zakończyła, oraz kiedy nareszcie wyprowadzono go na świeże, chłodne po-

wietrze, gdzie już zwolna przychodził do siebie. Nie widział również, że owi trzej świadkowie nie doczekali nawet do rana i w krótkich słowach pożegnawszy się z Łukaszem, rozeszli się w różne strony, nie zważając na noc dżdżystą i chmurną. Osłabiony też musiał być bardzo, pozwolił się bowiem odprowadzić na posłanie, rozebrać i ułożyć do snu. Na szczęście ten sen przyszedł prędko i był tak twardy, krzepiący i długi, że po otworzeniu oczu zdziwił się Jan z Krzekotowa, iż dzień posunął się już daleko.

Powoli zaczęły przychodzić na pamięć przejęcia wczorajsze, stary dźwignął się też z łoża, a odpędzając zmyły trapiące, modlił się żarliwie, wreszcie ubrał się, orzeźwił zimną wodą i zwolna skierował się ku wyjściu.

W przyległej izbie Elszka kręciła się już około przygotowania obiadu, co widząc Toporeczyk, rzekł wesoło:

— Od niepamiętnych lat nie zbudziłem się tak, ażeby odrazu zasiadać do obiadowego posiłku. Jegomość Łukasz pewnie już dawno pracuje w pasiece, albo na polu.

Kobieta spojrzała zdziwiona.

— Ho, ho! Bóg to wie, gdzie teraz się obraca mój pan. Zaledwie świtać zaczęło wyprowa-

dził dwa konie, osiodłał sam i przytroczywszy torbę z zapasami żywności na kilka dni i zawiniątka waszego wnuka, puścili się obaj cwałem w stronę granicy pruskiej.

Jan osłupiał; nowy grom w niego uderzył. Wychodząc ze swojej komory, miał nadzieję, że jeszcze raz zobaczy Przemka, że z nim na tę ciężką drogę ostatecznie się pożegna, że będzie mógł pomówić, dać ostatecznie napomnienia i udzieli ostatecznego błogosławieństwa. Stało się inaczej, ale stary jeszcze temu nie chciał uwierzyć, więc rzekł, pocieszając się sam własnymi słowami:

— Może niedługo powrócą?

— Gdzieżby tam znowu! — odparła Elszka. — Zapasów nabrali sporo, a kiedy już siedział na koniu, powiedział jegomość te słowa: „Pamiętaj o gościu, niech ma wszystkie wygody. Jeżeliby zapragnął udać się z powrotem do domu, to opatrz go dobrze. Chętnie dałbym mu konia, ale przez gęstwiny leśne nie przejdzie, niechaj więc tylko zabierze z sobą tego psa, co to z wilka się rodzi, Ratana. Stanie mu się on wiernym i czujnym towarzyszem w drodze i dopóki psisko pożyje, będzie przypomnieniem pasieki mojej i mojej osoby. Nie wrócę tak prędko, więc

pilnujcie tu wszystkiego dobrze, a język trzymać za zębami“.

— Tyle tylko powiedział jegomość Łukasz, a za chwilę zniknęli nam obaj z oczu — dodała sługa.

Jan dumiał przez dłuższą chwilę, głowę wsparł na rękę i patrzył w ziemię, wreszcie przechodzić się zaczął po izbie i mówić sam z sobą:

— Może to i lepiej, że się tak stało. Lepiej rękę uciąć od razu, niż pozwolić, ażeby się gnosiła — a zwracając się do kobiety, rzekł pewnym i stanowczym głosem: — Dziś jeszcze pobędę u was, odpocznę i przygotuję się do drogi powrotnej, a jutro, tak samo, jak oni, skoro świt nastanie, ruszę ku domowi.

Elszka starała się zatrzymać Jana, gościnnie zachęcała do dłuższego popasu, ale on, raz już postanowiwszy, był nieugięty.

— Wypogadza się — mówił, spoglądając na niebo — zanosi się na kilka dni ładnych, więc wędrowkę będą miał przyjemną. A psa zabiorę chętnie, przyda się samotnikowi dobry towarzysz w podróży i pamiątka pozostanie miła sercu.

Nazajutrz opustoszała zagroda Łukasza;

Toporeczyk, objuczony sakwami, przemykał się przez gęste bory i moczary, przodem zaś biegł Ratan, który tak się przywiązał do nowego pana, że pod jego osłoną mógł Jan prawie na oślep kroczyć naprzód.

**
*

Wygodniejszą, niż stary Jan z Krzekotowa, drogą cwałowali Łukasz z Dębicza z młodym Przemkiem Toporeczykiem, zaledwie bowiem dość wygodną ścieżką wyjechali z lasu, znaleźli się na dobrym gościńcu, okopanym rowami.

— Jesteśmy już na ziemi krzyżackiej — objaśnił mniemany bartnik młodzieńca. — Pamiętaj, chłopcze, że odtąd usta zamknięte mieć musisz na dwie kłódki. Jeszcze na drogach i w ubocznych ustroniach będziemy mogli pomówić po polsku, ale w osadach i miastach mogłoby to wzbudzić podejrzenia i popsuć cały plan. A drogę mamy do Massenburga, gdzie rezyduje mój przyjaciel Egon z Utenrode, daleką. Aż do Wystrucia ¹⁾ będziemy musieli jechać, a ztamtąd jeszcze dobre pół dnia drogi.

¹⁾ Dzisiejsza nazwa: Insterburg. (Przyp. autora).

Zatrzymamy się jednak na dłuższy popas w Olsztynie, skąd pchnę gońca do Massenburga, chciałbym bowiem, ażeby przybyli także na radę inni wtajemniczeni, panowie Weyde, Ryńsyc, Enzenberger i inni.

Młodzieńcowi nie nudziła się, ani też nie męczyła go ta droga. Otwierał się mu nowy świat, spostrzegał nowy ład, widział nowych ludzi i wszystko wyglądało tutaj inaczej, niż na ziemi ojczystej. Mijając różne wsie i osady, nierzadko spostrzegało się mocno, z kamienia budowane domy, z których wydobywał się kominami dym, w tych domach okna znajdowały się duże, przy zagrodach płoty dobrze utrzymane, a wszystko ustawione prosto, jakby pod rząd, wszędzie słupy graniczne, dobrze okopane pola, dostatek zwierząt domowych i narzędzi do uprawy roli.

Łukasz nieraz spoglądał na młodzieńca i badał pilnie, jakie wrażenie to wywiera na nim.

Dojechano o południu do Olsztyna i chłopiec aż oczy wypatrywał, a z podziwu otwierał usta, gdy wjechano na most zwodzony. Fossy, napełnione wodą, wały kamienne, baszty wzbudziły podziw Przemka, najwięcej zaś prze-

jął się bramą wjazdową, wielką, długą, ciemną, a zaopatrzoną w ogromne wrota z ciężkimi okuciami żelaznemi.

— Czy widzisz te otwory i te paszcze dział?
— zapytał zachwyconego chłopca Łukasz znie-
nacka.

— Widzę — odparł.

— Wiedz o tem — mówił poważnie rycerz z Dębicza — że te wszystkie działa wymierzo-
ne są w stronę Polski, te kusze zaś, które tu
również w takiej wielkiej liczbie ustawiono,
przeznaczone są do wymiecienia z tej ziemi ka-
żdego, kto polskiej, lub litewskiej używa mowy.

Chłopiec nie odrzekł nic, widać jednak było
z twarzy, że ubodła go ta uwaga, która brzmiała
jakby przypomnienie złożonej w nocy przy-
sięgi.

Po Srodzie, Sremie i Bninie, dokąd nieraz
jeździł z dziadkiem i ojcem, ten pierwszy gród
krzyżacki, chociaż nie zaliczał się do potężnych
warowni, wydał się Przemkowi czemś wspa-
niałem. Łukasz uśmiechał się tylko z czynio-
nych przez młodzieńca uwag i spostrzeżeń.

— Zobaczysz inne, stokroć piękniejsze gro-
dy — rzekł — niechaj cię one jednak nie olśnią
swoją potęgą i okazałością. Prawda, że Polska

nie może się tem poszczycić, ale pomimo to droż-
szą i milszą nam być ona powinna. Tu wszyst-
ko wyrosło na grabieży, tu wszystko kradzione,
tam wszystko swoje, potem i krwią zdobyte
i użyźnione. Zobaczysz później, gdy zetkniesz
się z tym ludem, który na oko opływa w dostat-
kach, jak on jęczy i wije się pod uciskiem krzy-
żackim, jak on krwawemi łzami płacze i jak
wzdycha do tych błogich czasów, gdy jeszcze
czcił w lasach dziewiczych swoje bogi, a stopa
najezdźcy nie najechała tej ziemi.

Sowicie wynagrodzony goniec pomknął z pi-
smem do Massenburga, a był to znów jeden
z tych zaufanych ludzi, którymi rozporządzał
bartnik Łukasz. Wolno, nie spiesząc się, je-
chali w tę samą stronę nasi podróżni, częste
czyniąc wypoczynki na postojach, co dawało
Łukaszowi sposobność do pouczenia młodzień-
ca o urządzeniach, stosunkach, o ludzie, o mą-
drości i przebiegłości Krzyżaków. Pojętny
Przemko obejmował wszystko w lot i niejeden
z panów, tworzących radę około króla Włady-
sława, nie nazbierał tyle wiadomości, ile ich
w takim krótkim czasie zdobyła ta młoda lato-
rośl rozgałęzionego rodu Toporczyków.

Uprzedzony przez gońca, pan na Massen-

burgu rozesłał natychmiast do znaczniejszych, a niezbyt daleko mieszkających sprzymierzeńców, tworzących zawiązek groźnego później dla Zakonu „Związku Jaszczurkowego“ orędzie, że przybywa z nad granicy polskiej rycerz Lux von Dembitz z niezwykle ważną sprawą. Zanim też Łukasz z Przemkiem dojechali do zamku, już tutaj zebrano się kilkunastu panów niemieckich, wśród których byli także przedstawiciele miast, najbardziej wyzyskiwanych przez rządców z Malboga. Wszyscy z niecierpliwością czekali na przyjazd Łukasza, który też nareszcie około południa ukazał się przed bramą zamkową.

Zdziwiono się niepomiernie, że Lux von Dembitz nie przybywa sam, lecz w otoczeniu młodego chłopca, nie śmiano się jednak o nic pytać, tem więcej, że nawet czasu po temu nie stało, Łukasz bowiem natychmiast po przybyciu zażądał najpierw rozmowy z Egonem von Utenrode na osobności.

Długo trwała ta rozmowa, zebrani zaś w wielkiej sali jaszczurkowcy słyszeli tylko urywane wyrazy, dobywające się z przyległej komnaty. Wywnioskowali z nich snadnie, że przybyły coś przedkłada, coś tłumaczy właścicielowi zamku, ten zaś opiera się i protestuje. W koń-

cu ucichło wszystko, jakby rozmawiający z sobą panowie odeszli do dalszych komnat, słyhać było nawet otwieranie drzwi i kroki na schodach.

— Po cóż nas tutaj wzywano, skoro kryją przed nami jakąś tajemnicę?—odezwał się zniecierpliwiony i młody rycerz Tieleman von Wege.

— Istotnie, to dziwne—powtórzył stary już wiekiem, możny pan na Ryńsku. — Musiało jednak zajść coś nowego i ważnego, doświadczony bowiem Dembitz nie sprowadzałby nas tutaj na pogadankę lub ucztę.

Nie dopowiedział reszty, w tej chwili bowiem otwarły się podwoje i do sali wszedł pan domu z przyjacielem.

— Darujcie, przezacni panowie —rozpoczął Łukasz — że zabrałem wam gospodarza, stała się jednak rzecz, która przedewszystkiem nie nas dotyczy, ani też naszego związku, ale rodziny panów z Utenrode. Ten wielki, zasłużony ród, jak się teraz okazuje, nie zginął jeszcze i nie wygaśnie na moim i waszym przyjacielu Egonie. Dziwnem zrzędzeniem Opatrzności wysłannicy moi, choć im tego wcale nie przykazywałem, odkryli w jednym z dworów polskich młodzieńca, który, jak się okazało z niezbitych i cudem niemal odnalezionych dokumentów, jest

w prostej linii synem bratanka słynnego rycerza, Udoną Utenrode.

— Ależ Udo zginął pod Rudawą, a znajdował się wówczas w stanie beżzennym! — zawołał pan na Ryńsku ze zdumieniem.

Lux von Dembitz zaśmiał się drwiąco:

— Wszyscy tak sądzili, a jednak było inaczej. Udo miał żonę prawowitą, pochodziła ona z ziemi Słowian, więc trzymał małżeństwo swoje w tajemnicy, nie chcąc się widocznie narazić na gniew rodziny. Później byłoby odkrył i przyznał się do przewinienia, zaskoczyła go jednak nagle wojna z Litwą i zdążył tylko spisać swoje wyznanie, naznaczyć następcę, dokument opatrzyć podpisami dwóch wiarogodnych świadków.

— Cóż się stało z matką? — zapytał młody Tieleman von Wege z niedowierzaniem.

— Odrażona przez swoich, nieprzyjęta przez rodzinę męża, której nawet nie znała, wdowa tułała się po świecie z dzieckiem, aż wreszcie z biedy i przepracowania umarła u jednego z moich pomocników, a przed śmiercią oddała mu dziecię w opiekę i powierzyła dokumenty, które przywieziono do mnie, a które teraz doręczyłem właśnie naszemu gospodarzowi.

— *Vivat!* Niech żyje odnowiony ród panów z Utenrode! — zawołano chórem i kolejno zbliżano się, ażeby składać życzenia sędziwemu rycerzowi z Massenburga.

Wyniosły, dumny na pozór, ale o wielkich łagodnych, niebieskich oczach i dobrotliwym wyrazie oblicza, Egon Utenrode przyjmował te powinszowania niby z wielkiem zadowoleniem, ale lekki uśmiech, na pół szydery, igrał mu na ustach.

Na dany znak, służba zamkowa wniosła dwa dzbany wina i przed każdym z obecnych postawiła misternie rzeźbiony roztruchan, a gdy już złoty płyn znalazł się w jego wnętrzu, zawołał Rudolf z Wittenau:

— Pokażcież nam przyszłego dziedzica tego zamku i włości! Niechaj wypijemy za jego zdrowie, ażeby rósł na chwałę Boga i ojczyzny, a na zagładę Krzyżakom!

— Nie pora po temu — wtrącił natychmiast Łukasz. — Chłopiec jest młody, nieśmiały, nie ma ogłady, ani nie zna języka, sam nie wiedziałby i nie rozumiał, co się z nim dzieje. Zostawmy to do innej, stosowniejszej okazji. A teraz w imieniu mego przyjaciela i gospodarza naszego proszę was, bracia związkowi, ażebyś-

cie z jednej strony szeroko roznieśli wieść o odnalezieniu potomka rodu Utenrode, z drugiej jednak zataili pochodzenie matki i dziwny sposób wykrycia opuszczonego dziecka. Tak trzeba. Ten młodzieniec będzie się wychowywał w samem gnieździe szarańczy krzyżackiej, a tam dzisiaj, po bolesnych dla zakonu doświadczeniach z Konradem Wallenrodem, krzywem okiem patrzą na każdego kandydata, w którym płynąby mogła krew słowiańska.

— Mądrze mówi Lux von Dembitz — przyznano chórem. — Nie tak to łatwo dostać się na rycerza zakonnego. Niejednemu już odmówiono przyjęcia syna, wymagają dokumentów, legitymacji i różne robią trudności.

W tej chwili powstał gospodarz domu i wyprostowawszy się dumnie, błysnął złowrogo oczami:

— Utenrodemu nie będą śmieli odmówić, a niechajby tylko spróbowali, to...

Nie dokończył i zacisnął pięści.

— Niech żyje i niech wyrosnie na naszego mściciela ten młodzieniec! — huknął pan na Ryńsku. — Za twoje zdrowie Dembitz, bo twój ja to zastęga.

Roztruchany krążyły ochoczo, służba napę-

niała ciągle dzbany, a przy winie rozwiązywały się języki, mówiono też wiele o swoich nadziejach na przyszłość.

— A ja wam powiadam — ozwał się Rudolf z Wittenau—że wojna, wielka wojna się zbliża, nawet już stoi u proga. Krzyżacy jej pragną i robią wszelkie przygotowania. Litwę już uważają za kłos dojrzały, który jeno ściąć należy i zagarnąć do wspólnego gumna. Witolda są pewni, niedarmo otoczyli dwór wielkoksiążęcy swoimi zausznikami, którzy codzien i przy każdej sposobności podjudzają władzę Litwy przeciw Jagielle.

— Witold opamięta się w porę — zauważył Dembitz.

— Daj Boże — odezwał się jeden z obecnych.

— Prusacy się ockną — zapewnił Tieleman z Wege.

— Pod komendą Jagielle staną inne szczepy słowiańskie—zrobiono uwagę, na co w głos roześmiał się pan na Ryńsku.

— Jak wy też nie znacie Słowian! Gdybyż to oni się zjednoczyli, inną skórę przybraliby na siebie rycerze krzyżowi. Ale o tem na długie, bardzo długie lata nie może być mowy. I Wi-

told, jak św. Piotr, po trzykroć zdradzi i odstąpi Jagiełłę, i pomoc Czechów, Rusów, innych narodów zawiedzie, a król Polski pozostanie sam, szczęśliwy, jeśli mu tylko mały kawał wyrwą ciała.

— A jednak pomsta będzie — zawołał Rudolf z Wittenau. — Niemcami jesteśmy i obowiązkiem naszym byłoby popierać zakon niemiecki. Ale nie taki, jaki on jest obecnie. Przeciwnie, zgnieść go, wytępić tak, ażeby nawet ślad nie pozostał, potrzeba, bo ci walczący w imię Chrystusa rycerze, plugawią dobre imię Niemców, wprowadzają rozpustę, psują obyczaje, bezczeszczą związki rodzinne, uciskają słabych i krew i pot wysysają z kmiecia i kupca. Niewielu jest nas jeszcze przynależących do Związku, ale czujących pospołu z nami dziesiątki tysięcy. Niech tylko Polska z Litwą się ruszy, niech utnie prawicę Krzyżakom, to my wykopiemy mogiłę i na cielsko tego olbrzyma o stu ramionach rzucimy tyle twardych grąd ziemi, że nie wygrzebie się z pod nich nigdy.

— Byle to tylko prędzej nastąpiło — wołali młodzi, rwący się do boju goście. — Cóż kiedy podobno ten Jagiełło niedołęga, ślamazarny.

— Tak nie jest — zaprzeczył Dembitz. —

Jagiełło dobrze waży wszystko i dopiero wtedy uderzy, gdy się przebierze miarka cierpliwości, a hufce zbierze dostateczną. Zbliżającą się wojnę widzi on równie dobrze, jak my wszyscy.

Gwarem rozbrzmiewały sale massenburskiego zamczyska do późnej godziny, tem więcej, że pan domu, znany szeroko z gościnności, kazał zastawić stoły, z kuchni szły coraz nowe potrawy, z piwnicy wytaczano coraz nowe beczki.

Nareszcie, gdy już kur pierwszy się odezwał, rozjeżdżać się zaczęli związkowcy, jeszcze raz składając życzenia z iście cudownego odnalezienia potomka słynnego rodu. Pogaszono światła i tylko w jednym pokoju, służącym za główną pracownię Egon z Utenrode oświetlone były okna.

Pan zamku przechadzał się wielkimi krokami po komnacie, przypatrywał mu się siedzący na wielkim, czerwonej skórze wybitem krześle Łukasz z Dębicza.

Milczeli długo obaj przyjaciele, wreszcie Egon przystanął:

— Dziwne czasami miewasz pomysły, Luce, zbyt dobrze jednak cię znam, ażebym nie wiedział, że wszystko obmyśliłeś naprzód. Żalu

do ciebie nie mam za to, że majątek i imię przyjsć ma na obce zupełnie dla mnie dziecko. Przecież nie mam nikogo z blizkich, a jacyś tam dalecy krewni mojej nieboszczki żony są mi najzupełniej obojętni.

— Więc cóż cię trapi, że takie zasepione masz czoło? — uśmiechnął się Łukasz.

— A jeśli ten chłopiec nas zdradzi? Albo też, jeśli oddany do zakonu i olśniony potęgą i bogactwami Malbarga, przylgnie do tych ciemiężycieli naszych sercem i zamiast mścicielem stanie się katem jeszcze sroższym? Co chcesz? Czyż można takiemu pół-dziecku dowierzać?

— Bądź spokojny — zapewnił Łukasz z mocą. — Znam twardość i zaciętość rodu Toporczyków. Prędzej dam sobie uszy obciąć, niż uwierzę, że Przemko mógłby się zmienić. Zresztą ty, ja i trzech jeszcze ludzi, którzy byli świadkami przysięgi, czuwać będziemy stale nad jego krokami.

— Per-sem-ko, dziwne imię — mruknął Egon — wyszukamy mu imię. W moim rodzie powtarza się często „Kuno.“

— Niech tak będzie—przypowiedział Łukasz.

— Zaraz jutro przykażę sporządzić odpowiedni dokument i naznaczę Kunona spadko-

biercą swoim. Tym razem oddałem go w ręce zaufanego, starego Diebla, który znając nieco polski język, zajmie się wychowaniem chłopca.

Odtąd zniknął z powierzchni ziemi Przemko-Toporczyk z Krzekotowa, a odrodził się Kuno z Utenrode, przyszły wolny pan na Massenburgu.

Diebel był to rosły, chudy, jak szczapa, zupełnie łysy mężczyzna, którego wiek trudno było określić; równie dobrze mógł liczyć sobie lat czterdzieści, jak sześćdziesiąt, albo nawet siedemdziesiąt. Około twarzy charakterystycznej, pooranej zmarszczkami, wiła się kępa zarostu, zakrywając część obu policzków i zajmując podbródek. Skąpy w słowach, spokojny w ruchach, zawsze poważny, nigdy się nie spieszył, każdą czynność wykonywał miarowo, systematycznie. Nie słyszano nigdy, ażeby krzyczał na służbę podwładną, a jednak ta służba drżała przed nim i obawiała się go więcej, niż samego dziedzica, u którego Diebel cieszył się bezwzględnem zaufaniem. Bywało, że Egon z Utenrode, wyjeżdżając, powierzył klucze od skarbcza i wszystkich skrytek, wystarczyło też, ażeby powiedział: „Do tych przedziałów nie zaglądać, bo tam są tylko dokumenty tajemne,“

a Diebel nie powążył się nawet dotknąć przegródek palcem.

Z dziada-pradziada służyli Dieblowie panom na Massenburgu i służyli wiernie. Zrosli się z rodziną, za którą daliby się posiekać na kawałki. Z dzisiejszym dziedzicem wychowali się razem, byli jednolatkami, a co dziwniej jeszcze ich złączyło, to niezwykle podobieństwo losów, które przechodzili. Razem brali udział w bojach, Egon jako dowódca większych lub mniejszych oddziałów, Diebel jako zwyczajny żołnierz zaciężny. Stawali na ślubnym kobiercu jednego dnia i w jednym kościele, rodziły się i marły dzieci w jednym czasie, wreszcie pochowali żony i pozostali sami, jak dwa kołki, na tym bożym świecie, ze wspólną tylko nienawiścią do Krzyżaków, jako zakały, przynoszącej hańbę imieniowi niemieckiemu, a uciśnienie nietylko ludom zawojowanym, ale także kupcom i rzemieślnikom niemieckim, zmuszonym płacić sowity haracz władcom tej ziemi.

Diebel, znający pana swojego może lepiej, niż siebie samego, zauważył odrazu, że Egon, choć nadrabiał pewnością siebie, był jakiś niepokojny, gdy przywołałszy go do siebie i okazując Przemka, rzekł głosem stanowczym:

— Oto syn Udona, a prawowity wnuk mojego brata. Dembitz odnalazł go dziwnym zrządzeniem Opatrzności. Oddaję tego chłopca, któremu ma być na imię Kuno, pod twoją opiekę. Jak go masz wychować, nie będę cię uczył, sam wiesz najlepiej, w jakiej szkole powinien się wyrabiać Utenrode. Raz na miesiąc przprowadzisz mi chłopca i zdasz sprawozdanie o jego charakterze i postępkach.

Mówiąc to, patrzył gdzieś w róg pokoju, jakgdyby się lękał, ażeby z oczu jego nie wyczytał Diebel kłamstwa. Co myślał wierny sługa, nie dociekłby nikt, słuchał tylko wyprostowany, jak struna, a kiedy dziedzic skończył, rzekł krótko:

— Stanie się wszystko podług rozkazu.

Umieszczony w osobnych dwu komnatach baszty zamkowej uważał się z początku Przemko za wtrąconego do więzienia. Nie skąpiono mu wprawdzie niczego, odebrano mu jednak swobodę, w której to dziecko lasów, jezior i moczarów wielkopolskich wzrosło dotąd i przeżyłoby najchętniej całe swoje życie. Tuż obok tych dwu komnat było mieszkanie Diebla, który też sam usługiwał, sam przynosił jedzenie i spełniał wszystkie czynności prostego sługi.

Przemko rozglądał się uważnie po swoim mieszkaniu, składającym się z sypialni, w której wszystkie sprzęty odznaczały się wielką prostotą, oraz z pokoju do zabawy i nauki, urządzonym na modłę sal rycerskich. W sypialni twardy tapczan, również twarda, słomą wyłożona poduszka skórzana, klęcznik, na którym ustawiono krucyfiks, stół i kilka stołków prostych, stanowiły całe bogactwo; w drugiej zaś komnacie, jedną ścianę całą zajęły wszelkiego rodzaju strzelby i broń sieczna, drugą zdołoby od góry do dołu trofea myśliwskie, łby dzików, niedźwiedzi, rogi danieli i łosie, paszczęki wilków, dzioby orłów i krogulców, rysie, żbiki, wypchane ptaki i t. p. Od sufitu zwieszały się przyrzady do ćwiczeń, kule ciężkie, łuki do napięcia, kozły do przeskakiwania i wszystko, co służyć mogło do wyrobienia siły i sprawności członków.

Nie zdążył się jeszcze młody Toporezyk nawet dobrze rozejrzeć po obu izbach, gdy wszedł Diebel, wnosząc obfite pożywienie, ale jakieś inne, nie takie, do jakiego przywykł u dziadka w Krzekotowie. Były tu i jajka na miękko i mięsiwo wędzone, cienko pokrajane, były placki i kołaczki, była też, zamiast polewki, szklanka z dziwnego koloru wywarem, który wydał

się chłopcu tak cierpki i gorzki, że ani nawet nie chciał przejść przez gardło.

— Jedzcie, panie, i posilcie się — rzekł sługa Utenrodów łamaną polszczyzną, którą nawet trudno było zrozumieć. — Przyjdę tu później, ażeby razem zmówić wieczorne pacierze. Z Bogiem zawsze trzeba zaczynać i kończyć.

Spokojnie, cicho, miarowym krokiem oddalił się Diebel, zostawiając Przemka samego nad zastawionym stołem. Chłopiec ani tknął prawie jadła i napoju, a pogrążony w dumaniach nad swoim losem i przyszłą dolą, siedział nieruchomo, nie zauważywszy nawet, że mrok zapadł i ciemność zrobiła się w komnatach. Była chwila, że dreszcz wtrząsnął jego ciałem, gdy przy słabym odblasku księżyca ujrzał te łby dzikich bestyj, te narzędzia mordercze, okna okratowane, drzwi okute, sklepienie pułapy.

— Czemuż pan Kuno nie zadzwonił? — odezwał się głos od progu. — Wystarczy tylko pociągnąć za ten pas (tu wskazał ręką na rodzaj plecionego ze skór sznura), a stawię się na każde zawołanie. Jam przecież tylko sługą, a wam, paniczku, rozkazywać wolno, nie prosić o nic nikogo. Tak zawsze było w domu panów Utenrode.

Stary sługa przygotował posłanie, przykleknął, ażeby pomódz przy zdejmowaniu odzieży i obuwia, przedtem jednak rzekł:

— Utenrodowie, o ile byli w Massenburgu, zawsze modlili się przy tym klęczniku i tutaj otwierali swoje serca przed Stwórcą. Na wojnę inne zabierali z sobą klęczniki. Znam wszystkie modlitwy, odmawiane zdawien dawna przez moich panów, wyuczę was ich przeto, ażebyście w niczem nie różnili się od nich.

— Ależ ja nie umiem modlić się po niemiecku — zawołał Przemko ze śmiechem.

— Dziś nie rozumiecie, panie Kuno, ale pojmiecie wszystko, jeśli nie za tydzień, to za miesiąc, lub kwartał. Tak trzeba, to święty obyczaj w rodzinie Utenrodów.

Przemko nie opierał się, przykleknął, złożył ręce do Boga i zaczął, jak kos, którego uczą gwizdać, za Diabłem powtarzać dobitnie wymawiane wyrazy: „*Vater unser, der du bist im Himmel.*“ Trzykrotnie powtórzone „Ojcie nasz“ zaczęło się już zwolna wbijać w pamięć z natury pojętnego chłopca.

— Na dzisiaj dosyć, jutro rano zaczniemy znów od tego samego—rzekł sługa zamkowy—jutro też rozłożymy zajęcia na godziny i tygo-

dnie. Śpijcie teraz, paniczu, słodko, a pamiętajcie, że jestem zawsze na każde skinienie Utenrodów we dnie i w nocy.

Ten akcent i to uszanowanie, oddawane co kilka niemal wyrazów domowi Utenrodów, zaczęły śmieszyć i drażnić chłopca, nie odezwał się jednak ani słowem.

— Czy panicz nie żąda jeszcze czego?—zapytał Diabel, stojąc u proga.

— Nie, nic mi już nie potrzeba — odparł chłopiec uprzejmie, choć z duszy i serca posłałby tego unżonego stróża swojego do głębi czeluści piekielnych.

Przemko położył się na tapczanie, ale nie usnął zaraz, lecz znów złożył ręce do pacierza i zaczął szeptać „Ojcie nasz“, „Zdrowaś“ i „Wierzę w Boga.“

— Tak będę robił codzień—pomyślał zadowolony — tam u klęcznika modlić się będzie Utenrode, tu Toporeczyk, może jedno i drugie błaganie Bóg wysłucha snadniej. Ten pacierz stanie się też jedyną obroną, ażebym nie zapomniał ojczystego języka.

Stary, doświadczony ochmistrz zamkowy milczał, jak grób, żadnej też nie zrobił uwagi, nawet najmniejszym słówkiem, lub spojrze-

niem i uśmiechem nie dał poznać po sobie, że z góry jest przekonany, iż ten syn Udony ani jednej kropli krwi Utenrodów nie posiada w żyłach swoich. Spełniał polecenia sumienie i ufał swojemu panu, wiedząc, że nie bez celu i głębszej podstawy postanowił Egon godnego siebie pozostawić następcę.

Wychowaniem Przemka-Kunona zajął się gorliwie, że zaś miał w chłopcu ucznia chętnego, posłusznego i zdolnego, więc już po kilku miesiącach nie poznałby może własny dziadek w tym zahartowanym, świetnie władającym mieczem, do celu strzelającym, zwinnie na koniu z tarczą herbową uwijającym się rycerzyku, dobrego przedtem, ale nieokrzesanego i skutkiem tego nieco ociężałego wnuka. Raporty tygodniowe, składane panu na zamku, brzmiały zawsze korzystnie dla młodzieńca, Egon z Utenrode pozwalał przeto coraz częściej zbliżać się do siebie Przemkowi, a nawet raz po raz ukazywał się z nim na większych zebra- niach i zjazdach sąsiedzkich. W kaplicy zamkowej na nabożeństwach młodzieniec siadywał w głównej, bocznej ławie tuż przy dziedzicu, po jego lewej stronie.

Po Łukaszu z Dębicza jakgdyby ślad zagi-

nał. Gości na zamku bywało często i dużo, Przemko znał już te wszystkie twarze, nigdy jednak nie zdarzyło mu się dojrzeć wśród przyjaciół pana domu mniemanego bartnika z nad granicy. Młodzieniec tęsknił, rad byłby powitać, lub bodaj spojrzeć na tę jedyną znajomą postać, czekał jednak na tę chwilę długo. Nadeszła ona wtedy, gdy się tego najmniej spodziewał.

ROZDZIAŁ IV.

Turniej na zamku w Malborgu.—Ciężka próba.

Miarowo, podług raz z góry określonego porządku, wlokły się tygodnie, miesiące, lata w Massenburgu. Przemko wyrósł na dorodnego młodziana, nie potrzebował go się też wstydzic stary Egon z Utenrode, który nieraz, przyglądając się harczącemu na dziedzińcu spadkobiercy swojemu, rozjaśniał oblicze i szeptał sam do siebie:

— Dzielny chłopak, udał mi się zupełnie, kto wie nawet, czy gdyby naprawdę synem był Udon, potrafiłby godniej przedstawić nasz ród stary.

Przywiązał się szczerze do młodziana, a kiedy zdarzyło się, że przesadzając na koniu rowy i płoty, Przemko-Kuno wskutek potknięcia się

rumaka, runął na ziemię i ciężko przywalony został cielskiem zwierzęcia, aż nawet stracił przytomność, pan na Massenburgu w pierwszych dniach nie odstępował łoża chorego, później zaś po kilka razy w ciągu doby kazał sobie donosić o postępach choroby. Na szczęście, młodość sprawiła, że wypadek ten nie pociągnął żadnych groźniejszych następstw. Przyszły dziedzic wielkiej fortuny Utenrodów prędko odzyskał siły, pozostała tylko mała szrama nad okiem, która nie szpeciła ładnego oblicza i wyglądała raczej na cięcie od szabli, dodając nawet pewnego rycerskiego uroku.

Sława o zdolnościach, męztwie, stateczności Kunona z Utenrode roznosiła się szybko nie tylko po zamkach i miastach okolicznych, docierała ona nawet dalej i szła aż po Ren, Nekar, Odrę. Starał się o to przede wszystkim mile wszędzie witany Lux von Dembitz, on także zręcznie półsłówkami umiał podczas odwiedzin swoich na zamku Malborskim wzbudzić ciekawość wybitnych rycerzy krzyżowych.

W Malborgu nie należał Egon z Utenrode do ludzi, którymby bezwzględnie można ufać i otwierać przed nim serce. Ceniono go jednak wysoko, wiedziano też, że zażywa wielkiego

miru wśród szlachty, że mieszczanie i kmiecie lgną do zamku w Massenburgu, znano jego hojną dłoń dla biednych, a wieść o jego bogactwach rosła nawet i w sposób przesadny była przedstawiana. Zarówno Wielki Komtur, jak i sam mistrz zakonu z nadzwyczajną uprzejmością i prawie pokorą, choć to była tylko chytryć i przebiegłość, zachowywali się wobec tego wielkiego pana, któremu nic nie można było zarzucić, oprócz tego, że był zimny, wyniosły, w słowach nadzwyczaj skąpy i w postępowaniu ostrożny.

Niejednokrotnie starano się przyciągnąć ku sobie starego rycerza, przy żadnej też ważniejszej uroczystości nie pominięto Utenrodego, słano zaproszenia na uczyty i bywało, że sam Mistrz, rozumny Konrad z Jungingen, odwiedzał samotnika w Massenburgu. Konrad nawet w wielu razach podzielał poglądy Egona, usilnem bowiem staraniem tego męża było odwlec jaknajdłużej krwawe starcie Zakonu ze szczepem słowiańskim. Odważny Egon w rozmowach z Mistrzem nawoływał do umiarkowania, potępiał bezpodstawny przelew krwi, oburzał się na łupiestwa, dokonywane w ościennych ziemach polskich i litewskich, zwracał uwagę na

pijatyki, hulanki, wesołe życie w obrębie murów klasztornych. Konrad przyznawał słuszność Utenrodemu, który Niemcem będąc przedewszystkiem, pragnął gorąco wzrostu i rozkwitu potęgi germańskiej, ale innemi do tego celu dojść zamierzał drogami.

Takie jedynie, ozięble panowały stosunki pomiędzy Malborgiem a Massenburgiem. Teraz jednak, gdy Kuno wyrósł już na dorodnego młodziana, sam stary Egon zapragnął nawiązać bliższą styczność, nie chciał jednak uczynić pierwszego kroku.

Sposobność zdarzyła się prędko i jakgdyby wprost wymarzona.

W zamku Marienburskim postanowiono wyprawie wielki turniej rycerski, któryby z dalekich stron świata ściągnął młodź, dając jej pole do popisów, a który świetnością swoją zamęiłby wszystko, co było dotąd, przedstawił całą okazałość zakonu, a wrogom okazał potęgę zaborczych rycerzy.

W sali, przeznaczonej dla mniejszych narad, zebrali się wszyscy, piastujący wyższe urzędy bracia zakonnicy i w najdokładniejszych szczegółach rozbierali całą zapowiedzianą uroczystość, a gdy już ułożono program, zastana-

wiać się poczęto nad tem, ażeby przy zaproszeniach nie pominąć nikogo, kto z rodu i zasług ma prawo wyróżnienia i szacunku uczestniczenia w igrzyskach i w nieodstępnej uczcie kilkodniowej. Po wymienieniu wielu ksiąząt udzielnych i przedstawicieli państwowych jedno z pierwszych padło nazwisko wolnego pana na Massenburgu.

— Wiele dobrego słyszałem o tym młodzieńcu, który cudem odnaleziony, obejmie dziedzictwo po starym Egonie z Utenrode—rzekł sam Wielki Mistrz, Konrad z Jungingen.

— Co do mnie—wtrącił siwy już, trzęsący się ze starości, a więc nie biorący udziału w wypadkach wojennych, a wielkiem poważaniem otoczony mistrz, w którego zawiadywaniu znajdowała się służba wywiadowcza, Bertold z Zurmünde—to słyszałem coś więcej jeszcze. Nasz wierny przyjaciel Lux von Dembitz zapewnia, że ten młody Kuno gorąco pragnie wstąpić do naszego zakonu, opiera się jednak tym zamiarom stary Egon.

— Egon wogóle niechętnem na nas patrzy okiem—zauważył jeden z braci.

— Stary, drewniany zabytek z tego Egona—dodano.—On naszego świata i naszych celów nie rozumie.

— Przedpotowiec — wołano.

— Ale rycerz prawy i człowiek bez skazy—zgromił surowo te dowcipy Bertold—a latorośl takiego rodu pozyskać dla Zakonu byłoby rzeczą zbawienną.

— I skarby gromadzić trzeba na przyszlą wielką wojnę—przemówił Hunger-Nimmersat, osoba nadzwyczaj ważna, w jej to bowiem ręku spoczywało zarządzanie majątkami i kasą Zakonu.—Stary Egon w lochach piwnicznych ma beczki złota i gdyby tylko rzekł jedno słowo, trzystu uzbrojonych od stóp do głów wojaków zaciężnych przywieśćby nam mógł na każde zawołanie. To dla nas ogromnie ważne.

— Może dobrzeby było, ażeby sam Wielki nasz Mistrz wybrał się z pocztem rycerzy w odwiedziny do Massenburga?—zrobił uwagę Bertold z Zurmünde.

Konrad Jungingen nie wzdragał się to uczynić i po kilku dniach wyruszył z zaproszeniem do dziedzictwa Utenrodów. Nie przypuszczał Wielki Mistrz, że odwiedziny jego tym razem zrobią prawdziwą przyjemność mieszkańcom zamku massenburskiego. Przybycie zacnego Konrada we własnej osobie pochlebiało potrosze dumie wolnego pana niemieckiego,

znaczyło ono jednak więcej jeszcze, gdyż zbliżało do celu i nagradzało wieloletni trud, zaparcie się siebie i starania Egona, Przemka-Kunona, Łukasza z Dębicza i po części Diebla.

Dziedzic Massenburga prawdziwie wspaniale zgotował przyjęcie Konradowi, Hunger-Nimmersat zaś, który towarzyszył wraz z innymi, aż oczami łypał pożądliwie, gdy służba gościom podawała szczerozłote miski, drogiemi kamieniami wysadzane roztruchany, gdy na dziedzińcu paliły się beczki smoły, gdy dla knechtów krzyżackich wytaczano z piwnicy kosztowne trunki i każdego, kto w tej porze zawitał na zamek, karmiono, pojono i jeszcze zaopatrywano w woreczki z monetą. Honory domu pospołu z Egonem pełnił Kuno, a tyle okazywał zręczności, ogłady, uprzejmości, że nie było wśród gości nikogo, kto niebyłby dla młodzieńca zjednany.

— Co krew, to krew—wołał Hunger-Nimmersat. — Nieodrodny potomek starego, zasłużonego rodu. Postawa, oblicze, ruchy—wszystko Utenrodów.

Stary Egon dziękował za wszelkie, sypane jak z rogu obfitości, życzenia.

Konrad z Jungingen zwrócił się także uprzejmie do Diebla:

— Wasz to uczeń, pamiętajcie zatem, że na was spadłaby w znacznej części wina, gdyby ten dzielny młodzieniec nie zdobył jednej z pierwszych nagród na naszym turnieju.

Diebel skłonił się nisko, zrobił jakiś grymas, który miał być uśmiechem, i odrzekł spokojnie:

— Jestem pewny, że Kuno nie zrobi mi wstydu, mam też nadzieję, że nie „jedną z pierwszych“, ale „najpierwszą“ pozyska nagrodę.

Przez trzy dni ugaszczwał Egon rycerzy krzyżowych, przez trzy dni rozlegał się gwar w pustych zazwyczaj i zimnych, sztywnych komnatach zamku massenburskiego, a zapasy spiżarni i piwnicy okazały się niewyczerpane. Hunger-Nimmersat oceniał to wszystko w duchu i doszedł do przekonania, że to, co tutaj przeszło przez stoły, tworzyłoby już niezłą fortunę dla niejednego chudopachołka szlacheckiego.

— Wielki to pan, możny pan—mówił też, siedząc z Wielkim Mistrzem w pięknej, pozłocistej karocy, zaprzężonej w osiem koni, z których hajdukowie trzaskali z krótkich biczyków. —Gdyby ten Kuno wstąpił do Zakonu, byłaby to dla nas wielka zdobycz.

— Zapewne, zapewne — przywodził zadumany Konrad z Jungingen—bądź jednak pe-

wny, że stary Egon nie dopuści do tego. Przecież i teraz kilkakrotnie ugryzł nas tak, że musiałem albo to w żart obracać, albo też zmilczeć zupełnie, udając, że nie słyszałem.

— Egon nie jest wieczny—zauważył sędziwy Bertold Zurmünde — a zresztą...

Konrad spojrział wielkimi oczyma.

— Dokończ.

— A zresztą—uśmiechnął się stary lis przebiegle—mamy przecież sposoby nietylko mieczów, ale i ludzi chowania do pochwy.

Bertold zrobił ruch wymowny, jakgdyby kogoś wkładał do trumny i zasypywał ziemią.

Konrad wzdrygnął się mimowoli.

— Gdyby nie twój wiek—rzekł dobitnie—poskromiłbym prędko twój język.

Złowrogie błyski ukazały się w oczach Bertolda, ale zamilkł, tak bowiem nakazywała reguła bezwzględного posłuszeństwa wobec Wielkiego Mistrza.

Konrad, jakgdyby nie wrogiem zaciętym, z którym głuchą, ale ustawiczną wojnę prowadził, był Bertold, w tej chwili zmienił przedmiot rozmowy i już aż do samego Malborga naradzał się w sprawie urządzenia turnieju.

Zaczęły się przygotowania do tej wielkiej

uroczystości, wszyscy wysilali się, ażeby z coraz nowym wystąpić projektem, gdyby też bodaj połowę tych planów urzeczywistniono, bardzo zasobna kasa Zakonu poważnie musiałaby zeszczupłeć. Do tego nie chciał dopuścić Hunger-Nimmersat, który wierny zasadzie, że nie można uszczuplać z zapasów, wynalazł jedynie mądry, jego zdaniem, sposób: obłożenia kupców nowymi podatkami.

Jęk poszedł po całym kraju, a zamki panów Ryńskich, Egona Utenrode i innych „jaszczurkowców“ roiły się tłumami niezadowolonych, którzy tu przychodzili po radę i pomoc, a opuszczali siedziby swoich dobrodziejów pocieszeni. Oliwy do ognia niezadowolenia dorzucał kręcący się wciąż wzdłuż i wszzer Łukasz z Dębicza. W Malborgu może nie wiadano nic o wrzeniu w kraju i objawach wielkiego niezadowolenia, a gdyby nawet doszły jakieś posłuchy, to niezwróconoby na nie uwagi. Cóż to może znaczyć dla Zakonu, że mieszczanie się burzą, a lud szemrze?

W Massenbргу również czyniono przygotowania wielkie do turnieju, chodziło przecież o to, ażeby ostatni potomek dawnego rodu wystąpił zgodnie i nową sławą okrył się, jeżeli

jeszcze nie na polu bitwy, to w pięknym, rycerskim spotkaniu. Przedewszystkiem tedy sam stary Egon oraz zawsze wierny Diebel starali się o dobranie świetnego pocztu młodzieńcowi. Dobierano rówieśników z wielkim trudem, wprowadzano najpiękniejsze konie ze stajni, a gdy który z rumaków okazał się choćby na odrobinę różniący się maścią, lub wzrostem, rozsyłano służbę z rozkazami wyszukania odpowiednich. Egon z Dieblem postanowili, że na dzień oznaczony do Malborga Kuno uda się na koniu karym, tak czarnym, że połysk powinien być kruczy. Otoczenie stanowić miało dwudziestu czterech rówieśników, wybranych z pośród ubogiej szlachty. Ta młodzież, jednolicie przyodziana i uzbrojona, dosiadać miała koni zupełnie siwych, bez najmniejszej skazy.

Wszyscy mieszkańcy Massenburga byli poruszeni. Cała armia krawców szyła odzież, szewcy pośpieszali z wykonywaniem obuwia, kuto broń, wyrabiano kolczaste ostrogi, gdzieindziej wrzała praca przy przygotowywaniu napierśników, tarczy herbowych, hełmów stalowych. Diebel był wszędzie i bacznie śledził, ażeby najmniejszy drobiazg wyszedł z pod rąk w doskonałej formie i we właściwej porze.

Nareszcie w przeddzień odjazdu odbyła się wielka lustracya tego zastępu, a wypaść ona musiała dobrze, gdyż stary Egon z Utenrode, przypatrujący się z ganku postawie tego orszaku i zwrotom, jakie czynił na komendę, uśmiechał się zadowolony i niejednokrotnie powtarzał:

— Dobrze, bardzo dobrze. Tak to mieć chciałem.

Wreszcie zawołał głosem tak donośnym, że echo długo tułało się pomiędzy murami zamkowemi.

— Jutro, skoro świt, w drogę! Poprowadzi was Diebel, ja przyjadę dopiero w sam dzień otwarcia turnieju.

Wolno, ażeby nie męczyć koni, posuwał się orszak Kunona ku Malborgowi, nietylko zaś mieszkańcy Massenburga, ale lud z wszystkich osad i wiosek, któremi przeciągano, zbierał się na gościńcach, podziwiając młodego pana i jego towarzyszy. Popasy urządzano w dworach, ponieważ zaś za orszakiem szły liczne wozy z prowiantami, obrokiem, ze służbą, zawsze gotową do potrzymania i zajęcia się końmi, oraz z rzemieślnikami, przygotowanymi do podjęcia napraw w razie, gdyby okazały się konieczne,

więc otwierano puste stodoły i śpichlerze dla pomieszczenia takiej wielkiej gromady.

Im bliżej Malborga, tem częściej napotymano różnych rycerzy, przedstawicieli szlachty, z niejednej też karocy błysnęła głowa młodej kobiety, której oczy ukradkiem i z wielkiem zaciekawieniem zwracały się w stronę przeciagającego hufca Kunona.

Wjechało na główny gościniec, szeroki, wyłożony dobrze dobranymi kamieniami, na których spoczywała dość gruba powłoka mocno ubitego piasku żółtego. Nie tak łatwo było posuwać się w ordynku naprzód, stary Diebel, jak młodziak, musiał się uwijać, ochrypł też silnie od wydawania rozkazów, byle hufiec przybochny nie został rozdzielony tak, że potem dużą stratę czasu spowodowałoby uformowanie nowego szeregu.

Ścisł i tłok panował na gościńcu głównym, po którego bokach rozłożyli się z całego świata zebrani tutaj żebracy, w najrozmaitszych językach i narzeczach nawołujący możnych o jałmużnę. Prawdziwa Wieża Babel. A jaki wybór kalek, ludzi, budzących więcej wstrętu, niż litości!

Diebel w krótkim galopie podjechał do Kuno-

na i nie nie mówiąc, przywiesił mu torbę u siodła.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Kuno.

— W tej torbie jest zapas drobnych monet, które co pewien czas trzeba wyrzucać garścią na tych biedaków. Utenrodemu niewolno obojętnie mijać nędzarzy.

Diebel nie czekał na odpowiedź, zawrócił i w dalszym ciągu pilnował, ażeby orszak w należyтым porządku posuwał się naprzód. Kuno sypał od czasu do czasu monetę, a widząc z jaką łapczywością ci ludzie rzucali się na pieniądze, zadumał się nad dolą i niedolą ludzką. Tam w Malborgu nagromadzono tyle bogactw, że obdzielićby niemi można nietylko tę gromadę, która tu żebrze, jęczy, wyciąga ręce, ale starczyłoby tych zasobów na podźwignięcie z biedy całych tysięcy bezdomnych żebraków, na zapewnienie rozkwitu całemu krajowi. A Zakonowi jeszcze tego wszystkiego mało, jeszcze dalej wyciągają rycerze krzyżowi swoje szpony, sięgają po odwieczną ziemię słowiańską, a wszędzie, gdzie się pojawiają, znaczą swój pochod krwią, niszczeniem dobytku, jękami smaganych ofiar niewinnych.

Nagle Kuno drgnął i silną ręką powstrzy-

mał za cugle konia, który już o mało nie wpadł przednimi kopytami na dwóch żebraków, którzy z lewej i prawej strony jednocześnie rzucili się na sam środek drogi przed jeźdźca. Młody rycerz gniewnym wzrokiem zmierzył natrętów, chciał już też rzucić jakieś przekleństwo, powstrzymał się jednak, w tym samym momencie bowiem doszły jego uszu słowa dziwne, wymawiane po polsku, a takie pogmatwane, że z początku nie mógł wyrozumieć ich znaczenia.

— Ulituj się nad nędzaczami, możny panie — wołali obaj na przemian, zagłuszając się na pozór, a jednak dobitnie wymawiając każde słowo. — Bóg ci to wynagrodzi i zaprowadzi cię dziś o północy do figury Matki Swojej w trzecim dziedzińcu zamkowym.

Biegając tuż obok konia, wołali dalej:

— Na dobrego Łukasza prosimy. W stajence znaleziono Dzieciątko Boże, w stajence, w stajence — powtarzali uparcie.

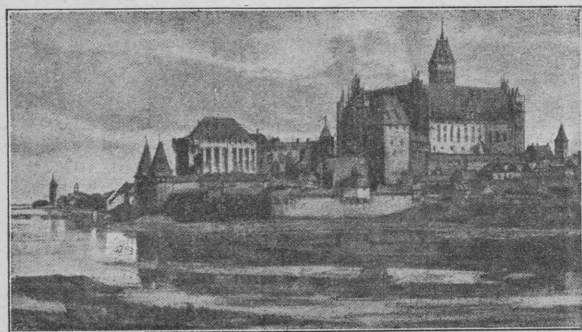
Kuno wydobyl pełną garść monet, żebracy rozbiegli się natychmiast, a była już pora najwyższa po temu, stary Diebel bowiem, widząc, że niepotrzebnie zagrządzają drogę i tamują pochód, chciał już ściągnąć batem jednego z natrętów.

Kuno-Przemko zamyślił się i nie spoglądając nawet na bok, jechał, przodując orszakowi swojemu. Ileż to lat minęło od tego czasu, gdy zamknęły się za nimi mury zamczyńska massenburskiego, odgradzając go od kraju rodzinnego i najbliższych sercu. Odtąd nawet najmniejszy dźwięk polski nie dotarł do jego uszu i młodzian bał się, że może dziś nie umiałby się już rozmówić dobrze z braćmi. Radość więc napełniła jego serce, gdy spostrzegł, że takich świętości, jak język ojczysty, nie łatwo wydrzeć z pamięci. Nie uronił ani jednego wyrazu, i tem więcej zadawał sobie w myśli pytanie, co mogą oznaczać: ta północ, ta figura, Łukasz i stajenka?

— W każdym razie jest to jakieś wezwanie z Polski i spełnić je trzeba — szepnął sam do siebie.

Zdaleka widać już było rozłożone wyniosłe i ozdobione wielką ilością potężnych wierzyce zabudowania warowni Malborskiej, jeszcze więcej przeto zwolnić musiano kroku, pnąc się na wzgórze z ciężkimi karocami, wozami, pełnymi rynsztunków. Luźniej zrobiło się dopiero przy samym wjeździe, tu bowiem służba klasztorna pod wodzą rycerzów zakonnych rozdzielała

przyjeżdżających, wskazując odpowiednie pomieszczenia w różnych punktach olbrzymiej równi. Przy mostach zwodzonych, a w tej chwili spuszczonej słyhać było krótkie zapy-



Stolica Krzyżaków — Malbork.

tania: „*Wer da?*”, po usłyszeniu zaś odpowiedzi natychmiast kierowano tak zręcznie wszystkim, że ścisk i zgiełk musiał się zmniejszać, lub ustawać zupełnie.

Przy dojeżdżaniu do górnej bramy wysunął się naprzód Diebel, trzymającym straż żołnierzom oznajmił, że przybywa Kuno z Utenrode. Wymówienie tak sławnego nazwiska podziało dobrze, w jednej chwili bowiem dwóch rycerzy w białych płaszczach pomknęło z kopyta, ażeby

powitać w przedsieniu jeszcze zacnego gościa i z należytemi honorami wprowadzić go do zamku.

Przyjęty serdecznie, Kuno udał się do wyznaczonych mu komnat, zkąd przybrawszy się w inne szaty, złożył powitania i życzenia Wielkiemu Mistrzowi i innym dostojnikom zakonnym. Młódź rycerska natychmiast zajęła się towarzyszem, który jednak, wciąż mając w pamięci słowa i zaklinania owych żebraków, pod pozorem, że chce dopatrzeć porządku w swoim orszaku, oraz udzielić niektórych poufnych zleceń, wymknął się na dziedzińce zamkowe.

Niełatwa to była sprawa rozejrzeć się i połąpać wśród tego labiryntu ulic, uliczek, ganeków, korytarzy, które tworzyły jedną ogromną całość olbrzymiej stolicy krzyżackiej. Służba i żołnierze biegali na wszystkie strony, każdemu było pilno, dużo też trudu kosztowało, zanim Kuno dobił się na trzeci podwórzec, gdzie właśnie dziwnym trafem po lewej ręce znalazł pomieszczenie jego tabor. Kuno zadał kilka pytań nic nieznaczących, objął jednym rzutem oka konie i wozy, zapytał o Diebla, którego na szczęście nie było, a następnie okrążyć zaczął cały ogromny dziedziniec, szukając bacznie figury

Matki Boskiej. Znalazł ją wreszcie wciśniętą w zagłębienie tak wielkie, że kilka osób mogłoby się tutaj ukryć wygodnie w razie potrzeby.

Rozpoczęcie właściwego turnieju oddziaływało jeszcze trzy doby, nie upłynęła jednak ani godzina, ażeby zapisującym dokładnie wszystko do księgi urzędnikom nie zaraportowano o przybyciu tego, lub owego znacznego męża. Padały tedy głośne w Niemczech nazwiska Wittelsbachów, Wettinów, panów na Sigmaringen, Hechingen, Reussów, raz w raz przybiegano z wieścią, że wśród gości znajdują się potomkowie wielkich rodów z Czech, z nad Renu, Mozeli, Dunaju, ba! z nad Tybru i z poza gór Alpejskich. Dla wszystkich znalazło się miejsc pod dostatkiem, stoły ciągle zastawione uginały się pod obfitością mięsów i przeróżnych, wyszukanych, często zamorskich smakołyków.

Wobec takiej liczby gości mógł Kuno Utenrode, aczkolwiek przydano mu służbę odpowiednią, względnie swobodnie obracać się w Malborgu, nie strwożono się też, ani zdziwiono, gdy pod pozorem znużenia podróżą, wymknął się wcześniej do swoich komnat. Nie położył się jednak od razu, lecz liczył kwadrans, wydzwaniane przez rozmieszczone na wieżach potężne zegary.

Nareszcie, gdy już zbliżała się północ, młodzian bez miecza i korda, nie obawiając się zasadzki, schodził zaczął po schodach kamiennych. Wszelkie drzwi i bramy stały otworem, w takiej chwili nie dbano o bezpieczeństwo, bo któż zresztą śmiałby uderzyć na Malborg? Litwa się lizała po zadanych ranach, a Polska była daleko, zajęta pracą w domu. Zresztą choć bramy Malborga stać mogły otworem, granica państwa dobrze była strzeżona. A jednak, gdyby się Polska odważyła, gdyby Jagiełło cichaczem podszedł, ten turniej bezkrwawy mógłby się przerobić w rzeź prawdziwą.

Dziwne myśli snuły się po głowie młodziana, gdy kołując po dziedzińcu, wolnym krokiem podążał w stronę figury. Doszedł wreszcie, przystanął na chwilę i nasłuchiwał. Cisza zupełna panowała, tylko z komnat zamkowych dolatywał gwar ze stajni parskanie koni. Zły na siebie, że w ten sposób wytlómaczył sobie dziwaczne słowa żebraków, chciał już Kuno zawrócić do swojej siedziby, gdy w oddali mignęła mu jakaś postać. Przystanął znów, a wpatrując się dobrze, dostrzegł, że ta postać przybliża się w jego kierunku. Już chciał ją Kuno wyminąć, gdy mąż-

czynna zwrócił się wprost ku niemu, a stanawszy w świetle księżycy, zapytał po niemiecku:

— Czy nie poznajesz mnie, czy też może nie chcesz poznać?

Młodzieniec osłupiał. Przed nim stał Łukasz z Dębicza.

Kiedy Kuno zrobił taki ruch, jakby starym obyczajem słowiańskim chciał objąć z poszanowaniem nogi starszego od siebie męża, Łukasz szepnął:

— Na miłość Boską! Tylko żadnych wzruszeń. Mówmy po niemiecku, tu ściany mają uszy, niemiecka zaś rozmowa nie zdziwi nikogo. Ani Luxa z Dembitz, ani Kunona z Utenrode podejrzewać nie będą. Wybrałem to miejsce, bo ono względnie jest mało ożywione, czasu jednak tracić nam niewolno.

— Kto byli ci dwaj żebracy?—spytał młody.

— Widujesz ich często, oni zaś ciebie ujrzeli po raz pierwszy owej nocy... Mniejsza jednak o to. Zbyt długo nasza gawęda trwać nie powinna. Na wszelki wypadek schowajmy się do tego zagłębienia przy figurze.

Obejrzeli się na wszystkie strony. Na dziedzińcu nie ujrzeli nikogo.

Łukasz szepnął:

— Wejdz pierwszy, ja przejdę się raz jeszcze i za chwilę będę przy tobie.

Młodzian wcisnął się w załom i zniknął, jak cień. Rzeczywiście po niedługiej przerwie zjawił się tu również Łukasz.

— Posłuchaj, chłopcze — rzekł — i uzbrój się w siłę. Wiedz, że nie masz już dziadka, który cię tak umiłował, że ciągle modlił się za ciebie i czekał jak na zbawienie, na twój powrót. Byłem przy jego zgonie i przejąłem ostatnie słowa: „Zanieś mu moje błogosławieństwo i rozkaz wytrwania. Zbliża się już czas, że będzie mógł powrócić. Dziedzictwo czeka na niego. Cierpliwości, cierpliwości“.

— To były ostatnie jego słowa — ciągnął Łukasz, lecz urwał, Przemko bowiem zasłonił oczy, zatoczył się i o mało nie runął na ziemię.

Cios to był straszny. Przecież tyle zniósł, tyle przebolewał w nadzieji, że prędzej, czy później wynagrodzi sobie radością starego dziadka, szczęśliwem życiem na ziemi rodzinnej.

— Nie bądź babą—oburzył się Łukasz, choć serce ścisnęło mu się na widok zboląłego młodziana. — Najlepiej uczcisz pamięć zacnego Jana z Krzekotowa, gdy jako dziedzic i głowa Toporczyków z tej gałęzi rodu, spełnisz rzecz pię-

kną, do czego teraz właśnie nadarza się sposobność. No! rozruszaj się przecież!

— Boże, mój Boże! — jęczał Przemko. — Więc nikt mi już nie pozostał na świecie? Poczóż męczyć się dłużej, po co kłamać, oszukiwać?

— Nie mów, że ci nikt nie pozostał — zgromił Łukasz surowo. — Ubył jeden z najbliższych, blizkich jednak są tysiące i miliony. Nie ma twojego dziada, ale jest Polska, dla której żyć i umierać warto.

Kiedy Przemko ciągle jeszcze oddawał się żalości, Łukasz rzekł niecierpliwie:

— Czas nagli, dłuższą nieobecność twoją mogą zauważyć na zamku, a Diabeł gotów zacząć poszukiwania. Powiedziałem ci już, że nastęrcza ci się pierwsza sposobność zrobienia coś dla swoich. Przypomnij sobie słowa przysięgi.

— Pamiętam—odparł młodzieniec głucho.— Rozkazujcie, panie.

Łukasz wysunął się z zagłębienia, rozejrzał się na wszystkie strony, wreszcie cofnął się znów do wnętrza i rozpoczął:

— Wyzначyłem ci umyślnie schadzkę przy tej figurze dlatego, żeby ci najpierw oznajmić, iż ona jest ruchoma. Tutaj w dwóch rogach są

kamienie, które można nawet łatwo wyjąć ze ściany.

Łukasz przybliżył się do jednego i drugiego rogu, a wyjąwszy kamień podłużny, z czterech stron ścięty, ukazał otwór.

— Figura jest wpuszczona na pasach w głąb, tu zaś w tych otworach znajdują się korby, za pomocą których pasami temi można kręcić i figurę z łatwością podnieść w górę, a następnie na kółkach przesunąć ją tak, ażeby zrobiło się wejście do lochu. Po schodach, które wiodą na dół, dociera się do długiego ganku, który należy przejść aż do mocnych, okutych drzwi żelaznych. Od tych drzwi klucz doręczone ci dzisiaj.

— Nic nie rozumiem—przerwał Przemko— i nie wiem do czego zamierzacie, panie Łukasz.

— Zaraz się o tem dowiesz, tylko milcz i słuchaj. Jak ci wiadomo, razem z tobą, a później po tobie, wielu młodzieńców naszych udało się dobrowolnie na służbę do zakonu. Przyjęto ich otwartymi rękami, ale wcielono do zastępów jaknajdalej rozłożonych od granic Polski i Litwy. Tak robią z wszystkimi, a szczególnie z wziętymi przemocą. Wielu nosiło swój los z poddaniem, nasi jednak młodzieńcy zbyt wcześnie zapragnęli działać i jednać sobie niezado-

wolonych w szeregach. Krzyżacy mają szpiegów wszędzie, plan cały odkryto i zemstę zgotowano straszną. Okutych, pod srogiemi razami pędzono trzydziestu młodzieńców do Malborga, gdzie czekał sąd. Część ich porosyłało w różne głuchostrony, część oddano do najcięższych posług przyjaciółom Zakonu, czterech zaś głównych winowajców wrzucono do lochu pod tą figurą Matki Bożej. Wynędziali, karmieni jak nierogacizna, pozbawieni światła dziennego, stracili już oni wszelką nadzieję, chociaż mylą się. Niech tylko wybuchnie wojna, niechaj okaże się potrzeba jaknajwiększej liczby sług, wypuszczają ich i gdy spełnią swoją powinność, rzucają w najcięższy ogień, gdzie bitwa wre najżarliwiej.

Przemko słuchał, wreszcie rzekł:

— Ten sam los czekałby mnie, gdyby dowiedziano się prawdy.

— Tem więcej zatem, gdy ci obecnie nie przecież nie zagraża, obowiązkiem twoim jest wesprzeć, uratować tę krew z krwi i kość z kości swojej.

— I cóż mógłbym uczynić? Mówcie, zrobię wszystko — zawołał młody rycerz porywczo.

— Masz orszak z sobą, złożony z dwudziestu czterech rówieśników.

— Czyż ta garstka mogłaby się rzucić na olbrzyma krzyżackiego, zwłaszcza w jego głównej siedzibie? — zaśmiał się Przemko.

— O użyciu siły nikt nie mówi—rozniewał się Łukasz — tam jednak, gdzie tej siły nie dostaje, potrzeba użyć chytryści. Sam nie wiesz, że w tym twoim poczcie, który z takim trudem zbierał Diabel, znajduje się czterech zacnych młodzieńców, okrutną palających nienawiścią do Krzyżactwa. To ja i moi zaufani wybraliśmy ich dla spełnienia dzieła. Poznasz ich po tem, że każdy na napierśniku ma lekkie wydrążenie, wielkości ziarnka grochu, a tak niewidoczne, że nawet bystre oko Diebla nic nie zauważyło.

Łukasz zniżył głos:

— W sam przeddzień turnieju, wieczorem, gdy już zmierzch zacznie zapadać, każesz całemu orszakowi swojemu wystąpić w szyku. Do tego masz prawo i Diabel nie może robić żadnych zastrzeżeń. Następnie oświadczysz, że chcesz przecwałować się trochę i wypróbować konie, zawieszysz też tych czterech młodzieńców, ażeby ci towarzyszyli i zręcznie wsuniecie się w to zagłębienie.

— A gdyby się zjawił Diabel? — zapytał Przemko.

— Nie obawiaj się. Już to sam postaram się o to, ażeby go w odpowiedniej chwili odciągnąć na bok.

— Co dalej?—pytał mniemany Kuno Utenrode z wzrastającym zaciekawieniem:

— Przejazdkę odbędziesz dosyć długą, powrócisz też, gdy już noc zapadnie, a wtedy taki tu będzie ruch, gwar, taka bieganina wskutek przygotowań, że nikt nie zwróci na twój powrót uwagi. Po jednym zsiadać będą młodzieńcy z koni i po jednym odprowadzać konie, a każdy, który już z tem się załatwi, powróci do ciebie, niosąc ubiory czterech towarzyszy i zręcznie wsunie się w to zagłębienie. Wówczas wyjmiesz kamienie, zakręcisz korbą i wpuścisz ich do lochu tym oto kluczem. Zamiast czterech wyjdzie ośmiu.

— A jeśli dostrzegą poruszenie się figury?

— To niemożliwe. Pokieruję tak, ażeby wysokie wozy i sztandary zakryły to zagłębienie przed okiem ludzkim.

— Przypuśćmy, że wszystko się powiedzie, cóż pocniemy z uwolnionymi?

— Jako ludzie z twojego orszaku wyjdą przez nikogo nie zaczepiani poza mury tego zamku, a gdy już tam się znajdą, natrafiają na

takich, którzy ich przebiorą i uprowadzą w miejsce bezpieczne. Odzież przed świtem dostawiona będzie także, w tem już moja głowa. Czy zgadzasz się na to? — zakończył Łukasz.

— Skoro przykazujecie, panie — odparł Przemko z mocą — wypełnię wszystko dokładnie.

W porę zakończono tę rozmowę, niespokojny bowiem o ostatnią latorośl rodu Utenrodów Diebel kilkakrotnie przebiegał dziedziniec, wreszcie nakazał szukać Kunona. Słudzy rozbiegli się, nawoływali, trwało to zaś już czas dłuższy, a tymczasem Łukasz, wspierając się na ramieniu młodzieńca, kroczył z wolna, opowiadał coś wesołego, śmiał się głośno i tem zwrócił wreszcie uwagę Diebla.

— Byłem już niespokojny — rzekł wierny sługa panów na Massenburgu.

— O co? — huknął rubasznie Lux von Dembitz. — Rycerz, który do turnieju staje, wyrósł oddawna z pieluch, nie jest też szpilką, która mogłaby zaginać.

— O wypadek nietrudno — tłumaczył się Diebel — a nasz pan Egon nie przebaczyłby mi nigdy braku czujności.

— Uspokój się, stary. Oto oddaję ci Kuno-

na nieuszkodzonego. Spotkaliśmy się, więc gawędziliśmy dłużej, a że nie znał jeszcze całości zamku, więc pokazywałem niejedno godne uwagi.

— Istotnie—dogadywał przytomny Kuno— jest tu wiele osobliwości i rad jestem, że je poznałem.

Wymawiając te słowa, przelotnie, ale znacząco spojrzął na Łukasza, który też uśmiechnął się zlekka.

— Odwiedzcież mnie w moich komnatach — prosił Kuno przy rozstaniu.

— Nie mogę — odparł Lux. — zostawmy to na później, po turnieju. Teraz tyle na mnie spadło roboty, ustawianie wozów, utrzymanie w porządku sztandarów, że mimo najszczerzych chęci, nie będę wam służył. Życzę powodzenia — dodał i odszedł pośpiesznie.

Z twarzą obojętną wszedł Kuno z Utenrode do wielkiej sali, gdzie zgromadzony sam kwiat młodzieży rycerskiej zebrał się i zasiadł na ławach wzdłuż ścian, w piękne zdobnych malowidła. Kuno chciał poznać tych współzawodników, mających wkrótce wystąpić w szranki, źle jednak trafił. Pojona i goszczona przez czyniących honory rycerzy krzyżowych, młodzież

ta nie rozprawiała nawet o przyszłej uroczystości, lecz z ust płynęły sprośne piosenki, sypały się rubaszne żarty, płynęły uwagi o kobietach i pannach, wobec których popisywać się miano. Niejeden chwiejnym krokiem mierzył salę, niejeden błędnym, tępym wzrokiem spoglądał przed siebie, tam kłócono się przy grze w kości, gdzieindziej stawały nawet naprzeciw siebie muskularne ramiona, że aż gospodarze przybiegać musieli i odłączać powaśnionych.

Kuno usiadł na ławie z brzoza, mając za towarzysza starszego już rycerza o wspaniałej postawie, oczach czarnych, nosie orlim.

— A was nie bawi ta uczta? — wszczął towarzysz rozmowę.

— Dopiero przyszedłem — dał odpowiedź wymijającą Kuno.

— Tem lepiej zrobisz jeszcze, gdy wyjdiesz prędko. To nie dla tych, którzy naprawdę lubią rozprawy rycerskie. Jeżeli też Zakon takie zamierza urządzać turnieje, to złą odda przysługę. Tu zgnuśnić można, ale nie wyrobić się na męża. Nie tak dawniej bywało. Przed chwilą był tu Konrad z Jungingen, powiódł okiem po zebranych i cofnął się pośpiesznie, a widziałem, że poważna troska osiadła mu na

czole. Zaiste jest czego się troskać, jest czego lękać o przyszłość.

— Czarnemi barwami malujecie wszystko — ozwał się Kuno.

— Oj nie, mój młodzieńcze — westchnął towarzysz — widzę tylko czarną chmurę, nadciągającą od wschodu, a czy z tej chmury nie spadną takie gromy, że z orzą tę ziemię całą, to przyszłość okaże. Ma rację Konrad, że się ociąga.

Kuno chciwie słuchał tych słów, towarzysz jednak musiał urwać, w tej samej chwili bowiem ozwała się huczna muzyka i zagłuszyła wszystko, a gdy wreszcie muzyka ucichła, odezwały się śpiewy, na salę wybiegli błaznowie w dziwacznych strojach, a pobrzękując dzwoneczkami płatali sobie figle, pokazywali sztuki, skakali, tańczyli, rzucali koncepty na prawo i lewo.

A wino krążyło wkoło i podniecało umysły. Zebrani na sali goście dochodzili do szału, gdy gromada dzikich ludzi ukazała się, wyprawiając zawrotne skoki przez ogień, łykając rozpalone żelazo. Potem znów zrobiło się na chwilę ciemno, a w oddali, jakby za mgłą rozległ się chór dziewic, niby nimfy wodne ukazujące się przed oczami i znikające pospiesznie.

Nastąpiła przerwa, urozmaicona tylko śpiewami różnych z całego świata spędzonych włoczęgów. Nie brakło wśród nich ślepego starca, który rzewne pieśni zawodził w pokrewnym polskiemu językowi. — Melodya była smętna, monotonna, Kuno jednak wlepił wzrok w starca, przypatrywał mu się bacznie i z wyteżeniem wsłuchiwał się, łowiąc każde słowo i każdą nutę.

Wtem starzec urwał, zwałił się na ziemię ze stołka, a instrument, na którym przygrywał, potoczył się rozbity po sali. Równocześnie rozległo się przekleństwo z ust kilku, ledwie trzymających się na nogach gości.

— Padlino słowiańska, precz z twojem rżeniem przedśmiertnem! Nam weselszych potrzeba pieśni. Za drzwi z tą sową!

Kuno podniósł się z ławy i ujrzał krew, sączącą się z rany nad okiem, a spływającą po siwej brodzie starca.

— Co to ma znaczyć? — zapytał z drżeniem w głosie towarzysza.

— Ha! zabawkę urządzono sobie prawdziwie rycerską — odparł zapytany z pogardą — zbito i pokopano lirnika, za to, że ich nudził.

Kuno nie pytał więcej. Rozpychając się łokciami, przesunął się przez tłum i krzyknąwszy:

— Wody mi podać!

Podniósł starca, usadził na stołku i zaczął połą własnego odzienia ocierać krew spływającą.

Potem zwrócił się wprost do pijanej tłuszczy:

— Takich, którzy poniewierają bezbronnych starców, nie uważam za godnych stawania do turnieju. Chodźcie do mnie, a doładźcie miecze, zobaczymy wtedy, czy dotrzymacie placu.

W jednej chwili więcej, niż dziesiątek par pięści, gotowych spaść na głowę śmiałka, uniósł się w górę.

— Za drzwi z tym zuchem!

— Wyrzucić kaznodzieję i obrońcę żebraków!

Kuno może nie wyszedłby żywo, albo też tak poraniony, że musiałyby się wyrzec turnieju, gdyby na pomoc nie przyszedł ów towarzyszy z ławy.

— Wara tknąć tego rycerza! — krzyknął tak doniośle, że zagłuszył wszystkich. — Kto jego dotknie, ze mną będzie miał do czynienia. Jestem Dytrych Kekeritz.

Nazwisko to, wsławione w bojach na całej niemal kuli ziemskiej, nazwisko męża, który

już w trzecim pokoleniu służy wiernie zakonowi, a obecnie syna swojego przywiódł na turniej, podziałało tak silnie, że zuchwalcom opadły ręce.

— Moje zaś nazwisko brzmi: Kuno z Utenrode na Massenburgu — dodał młodzieniec. — Na wyzwanie czekam do jutrzejszego południa.

Na te słowa nie odpowiedział nikt, pomiędzy bowiem Dytrychem i Kunonem z jednej, a gromadą śmiałków stanęli murem bracia zakonnicy, uprowadzając na stronę najczęściej czupurnych i rwących się do walki.

Kekeritz torował drogę ku wyjściu, Utenrode wiódł pod rękę starca, któremu też rzucił sakwę ze złotem.

— Kup sobie nowy instrument, a omijajuczty w tym zamku.

Stary schwycił za sakwę, a pochylając się do ucałowania ręki, szepnął po polsku:

— To ja, panie, z pasieki. Odejść ztąd nie mogę. Złoto przyda się na ucieczkę czterech młodzieńców. Niech Ci Bóg wynagrodzi i uchowa w Swej opiece!

Lirnika wzięła służba między siebie, Kekeritz z Kunonem wolno kroczyli ku swoim komnatom.

Wieść o zajściu w sali biesiadnej dotarła bardzo prędko do uszu Wielkiego Mistrza, który też przykazał poczynić wszystko, ażeby w tak uroczystej chwili nie doszło do bezpotrzebnego rozlewu krwi. Napróżno jednak przekładali bracia zakonni, napróżno zachęcali do zgody, rzucona rękawica musiała być podjęta. Ażeby ujść czujnemu oku służby, zapadło postanowienie odbycia krwawej rozprawy w dość znacznym oddaleniu od zamku, na polanie, w lesie, rozciągającym się pomiędzy Pelplinem a Gniwem.

Nielada przeprawa czekała młodego Kuno, wyzwanie bowiem otrzymał równocześnie od ośmiu obrażonych. Nie tego jednak lękał się młodzieniec. Więcej trapiła go myśl, co się stanie, gdy otrzyma ranę, która mu uniemożliwi spełnienie polecenia Dębicza. Nie było też innej rady, jak tylko powiedzieć o zajściu Dieblowi. Ku wielkiemu zdziwieniu Kunona ten stary opiekun nietylko nie zgromił go za nierozwagę i popędliwość, ale przeciwnie rozchmurył czoło i zatarł ręce z zadowolenia.

— Chcą walki, będą ją mieli — rzekł. — Przekonają się też, że stary Diebel umiał ułożyć rękę młodemu Utenrodemu. O świadków,

którzy z naszej strony są nieodzowni, już się postaram.

— Niepotrzeba — zawołał Kuno. — Przecież nie odmówi mi tej posługi rycerskiej ani Dytrych Kekeritz, ani Lux Dembitz.

Zaczęto szukać obu, o ile jednak Kekeritza znaleziono łatwo, o tyle próżne były wszystkie zabiegi o chwilę rozmowy z Łukaszem. Zapadł, jak kamień w wodzie, choć nikt go nie widział wyjeżdżającego z zamku. Jeszcze więcej zdumiało to młodzieńca. Czyżby całą robotę około uwolnienia więźniów polskich Łukasz pozostawił wyłącznie jemu, a sam wycofał się ostrożnie?

Kuno-Przemko bronił się, jak mógł, ale myśl ta powracała uporczywie i płoszyła sen z powiek.

W braku Dębicza na polance w lesie stawił się przy boku młodego Utenrodego wytrawny Diebel, który dziwnie ożywił się, odzyskał werwę prawdziwie młodzieńczą i do ostatka udzielał rad i wskazówek.

Podług wszelkich zasad rycerskich odbyło się spotkanie, a wytrawny Dytrych Kekeritz aż podrywał się i nie mógł ustać na miejscu, gdy zobaczył, z jaką wprawą i spokojem odpięra

młodzieniec natarcie jedno po drugim przeciwnika.

Już czterech obezwładnionych leżało na murawie, dwóch cyrulików miało też dosyć roboty, ażeby zalepić rany i opatrzyć guzy. Z piątym zapaśnikiem, mężem o goliatowym wzroście, przeprawa okazała się trudniejsza, z przestracchem też patrzył Diebel i Kekeritz, że ręka młodzieńca słabnie, a pot, ściekający obficie z czoła, świadczy o ogromnym zmęczeniu. Pomimo to Kuno trzymał się, aż wreszcie młoda krew w nim zawrzała i chcąc prędzej skończyć, natarł sam na przeciwnika.

Z przerażeniem spojrzął Diebel i zaparł oddech w piersi.

Nie mylił się wierny sługa Utenrodów: przejście od obrony do natarcia stało się zgubą Kunona, który też na chwilę zatoczył się, jęknął głucho i padł na murawę.

— Honorowi stało się zadość — zawyrokował poważnie Kekeritz. — Teraz uwieźcie swoich rannych, a uczynicie to tak zgrabnie, żeby nikt nie domyślił się tego, co tu zaszło. Po turnieju wolno będzie nawet szeroko otworzyć usta, ale teraz obowiązuje wszystkich milczenie.

— A wy co zrobicie? — zapytali przeciwnicy.

— Damy sobie bez was radę i bocznymi drogami stawimy się również w zamku, jeżeli stan tego młodzieńca na to pozwoli — odparł i natychmiast przywołał jednego z cyrulików.

— Sakwę złota, jeżeli szybko wyzdrowisz tego rannego rycerza.

— Dodam drugą — zawołał Diebel.

Rozpięto zbroję Kunona, który leżał z zamkniętymi oczyma i zdawał się nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Błady, jak trup, wpatrywał się Diebel w oblicze młodzieńca, wreszcie wśród ciszy grobowej zapytał szeptem:

— Czy żyje?

W tej samej chwili Kuno wydał jęk stłumiony, cyrulik bowiem dotarł nareszcie do miejsca, w które ugodził cios przeciwnika. Chytry Włoch, który przybył w służbę do zakonu i któremu dobrze się działo, uśmiechnął się i podniósł oczy na obu rycerzy.

— Przygotujcie sakwy. Ten młodzieniec nie tylko żyć będzie, ale dziś jeszcze przyjdzie do siebie. Siła uderzenia była wielka i gdyby nie rękawica, jak się teraz okazuje, doskonale wyrobiona, ręka prawa albo zwisałaby się teraz, albo też nawet leżałaby gdzieś na uboczu. W tym wypadku nawet kość nie jest naruszona,

pozostał tylko ból silny i chwilowa bezwładność. Najpierw trzeba uśmierzyć ten ból, a potem docucimy się rycerza i ruszymy w drogę.

Pewność siebie Włocha tak oddziałała, że Kekeritz z Dieblem spojrzeli po sobie uśmiechnięci, niecierpliwili się jednak, zabiegi bowiem cyrulika trwały długo, bardzo nawet długo.

— Na zamku spostrzegą naszą nieobecność — mruknął Diebel.

— Niechaj tak będzie nawet — oburzył się Kekeritz. — Czyż to my dzieci, żeby nas trzymano na pasku? Inna nawet myśl przyszła mi do głowy. Niedaleko ztąd mieszka stary mój przyjaciel, Ruprecht Lauer Minchofenu. Tam odwieziemy młodzieńca, a jutro, jakgdyby nigdy nic, powrócimy do Malborga. Biorę to na swoją głowę.

Diebel zgodził się chętnie, Kunona zaś nikt nie zapytał się nawet o zgodę. Wprawdzie młodzieniec otwierał już oczy, wprawdzie powracała mu przytomność; ale taki był osłabiony, że pozwolił robić z sobą wszystko.

Może nie wiedział, nie zrozumiał nawet dokąd go wiozą na pasach, rozciągniętych pomiędzy dwoma końmi, a nawet ból zagłuszył w nim

myśl o figurze Matki Bożej, o czterech więźniach i o Dębiczu.

Do zamku Ruprechta dojechano bez żadnych przeszkód, tam też znalazło się dla Kunona wygodne łożo, przy którym czuwał przez noc całą przebiegły Włoch, w duszy obliczający sobie o ile wzmoże się jego dobrze już nabity worek ze ziołem.

Wczesnym rankiem stawili się w izbie Kunona Diebel z Kekeritzem i ku niemałemu zdumieniu swojemu spostrzegli, że młodzieniec wstał i z oznakami niecierpliwości przechadzał się po komnacie. Błady był tylko, a w oczach paliły się niezdrowe przebłyski. Na czułe zapytanie odpowiedział prawie gniewnie:

— Nic mi nie jest i nie będzie. Żałuję tylko, że dałem się tak ubiedz niefortunnie, i że wszystkich ośmiu nie nauczyłem rozumu.

— W każdym razie wyszedłeś z rozprawy bardzo pięknie i wzbudziłeś dla siebie szacunek — odparł poważnie Kekeritz. — Czy wzmogłeś się o tyle na siłach, że możesz dosiąść konia i pojechać z nami do Malborga?

Kuno zaśmiał się, a była w tym śmiechu zaciętość, która zaimponowała nawet trzem starcom, (bo i Ruprecht przybył też, ażeby powitać gościa) rycerzom.

— Chciałbym już jaknajprędzej zjawić się na zamku — rzekł. — Przecież to jutro dzień turnieju.

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie. Jakże to być może, ażeby młodzian, który zaledwie się dźwignął z łoża, marzył o zdobyciu laurów?

Włoch zacierał ręce i w swoim ubraniu czarnem, jedwabnem, przepasanem szarfą atłasową, z brodą rzadką i śpiczastą podobny się stał do wysłannika piekieł, gdy wtrącił:

— To moja zasługa. Mam leki niezawodne, a gdy jeszcze ten młody pan napije się kilka kropel wynalezonego przezemnie eliksiru, odzyska taką moc, że z bawołem mógłby się wzięć za rogi.

Ruprecht Lauer z Minchofenu ugościł wszystkich serdecznie, że zaś sam był ciekawy wypadków turnieju, udał się również do Malborge. Diebel, który sądził, że conajmniej będzie nagabywany o powód nagłego wyjazdu, i który podejrzewał, że rozprawa na polanie nie mogła utrzymana być w tajemnicy, zdziwił się, że na ich wjazd i powrót najmniejszej nie zwrócono uwagi. Niby to wszystko szło dawnym rzeczą porządkiem, goście ciągle jeszcze napływali, na każdym kroku rozwijano przepych, przyozda-

biano place, przygotowywano wieńce, główny dziedziniec i schody wysypano ziemią, na pierwszy rzut oka dostrzegł jednak stary bywalec malborski, Kekeritz, że coś się dzieje, że jakaś chmura zawisła nad groźnym, ponurem zamczyskiem. Kilkakrotnie starał się tego i owego z lepszych znajomych podpytać, dowiedzieć się jednak nie mógł niczego.

Ten rozgardjasz, ustawiczna i bezładna bieżanina, zwróciły także uwagę Kunona. Młodzieńiec zadrżał. Czyby może odkryto spis, zmierzający do uwolnienia Polaków z lochu? Jedyne Dębicz mógłby dać wskazówkę, ale gdzie go szukać w tym tłumie? I czy właśnie pytanie się teraz o Luxa nie dobiłoby do reszty wszystkiego?

Po raz pierwszy młody rycerz niepewnym krokiem i w zadumie dążył do swoich komnat, a na widok białego płaszcza usuwał się na bok przezornie. Już był na ostatniem załamaniu ogromnych schodów, gdy z zagłębienia w korytarzu wychyliła się nagle postać, której w tym półmroku, stałe tu panującym, nie poznał odrazu.

Postać przypelzła cicho, a potrąciwszy lekko Kunona, szepnęła:

— Poczekajcie w izbie, za chwilę wcisnę się do waszej komnaty.

Zanim młodzieniec zdążył się ocknąć i rozejrzeć, nikogo już nie było w pobliżu.

Dużemi krokami przechadzał się Kuno, poprawiał odzież, targał mały, zaledwie puszczaający się wąsik, a niecierpliwie spoglądał ku wejściu. Nikt się nie pojawił. Już zaczynał brać to spotkanie za senne widziadło, gdy posłyszał chrobotanie w ścianie.

Przystanął i spojrzął w stronę, od której dochodził ten odgłos. Chrobotanie powtórzyło się, a co najważniejsza, drgnął i zadygotał się obraz, przedstawiający prawie w naturalnej wielkości postać jednego z zasłużonych dla zakonu wojaków. Obraz uniesiony został w górę i przez mały otwór wysunęły się najpierw ręce, a następnie siwa głowa lirnika.

— To ja, miłościwy panie. Zastłońcie okna i otwórzcie szafę, ażebym na wszelki wypadek miał się gdzie ukryć.

Kuno-Przemko bezwiednie spełnił polecenie.

— Nie ma czasu do tracenia—rzekł stary lirnik.—Przyszedłem tylko powiedzieć, że Łukasz z Dębicza pozdrawia was po odbytej rozprawie w lesie pelplińskim.

— Zkąd on wiedział o tem i gdzie jest obecnie? — zawołał młodzian.

— Łukasz zawsze i wszędzie czuwa—uśmiechnął się starzec.—Kazał też zapytać się, czy może liczyć dziś na was?

— Raz wypowiedzianego słowa nie cofam — odparł młody dumnie.

— Tak i my robimy—dorzucił stary surowo—A działać trzeba, taka dobra sposobność nie nadarzy się prędko.

— Będę o oznaczonej porze.

— Dobrze—mruknął starzec, a przybliżywszy się tuż do ucha Kunona, zapytał szeptem:

— Czy wiecie, co się stało?

— Nie.

— Szpiegowie donieśli, że Witold, Wielki Książę Litewski, który tu miał przybyć na turniej, i którego z wielkimi honorami chciano przyjąć, a nawet olśnić bogactwem i obsypać darami, zmienił plan nagle. Zamiast do Malbarga, udał się do Dobrzynia i tam gości, a starosta Jakób Chełmicki wyprawia ucztę, pali bezcki, jakgdyby na urągowisko Zakonowi.

Młodzian słuchał uważnie, a stary lirnik jeszcze niżej dodał:

— Na wieść o tej zdradzie Witolda, bo oni nazywają to zdradą, tak się rozsierdzono, że część młodych i porywczych do broni chciała

natychmiast po turnieju wyruszyć na Dobrzyń. Narada trwała długo w noc, ale rozważny Konrad z Jungingen opierał się tej nowej, zbrojnej wycieczce. Przyszło do takiej kłótni, że zawsze spokojny Konrad uniósł się, wstał, pięścią w stół uderzył, że aż ten stół rozpadł się na dwoje i zawołał:

„Dopóki ja żyję, do wojny ze złączonemi siłami Polski i Litwy nie dopuszczę. Po mojej śmierci gińcie, jeśli chcecie!”

„Tchórzem jesteś, choć moim bratem—rzucił na to pogardliwie brat Wielkiego Mistrza, porywczy Ulryk Jungingen, a obelga ta spadła na Mistrza, jak grom. Zatrząsł się całym ciałem, podniósł z tronu, chciał postąpić kilka kroków, ale zachwiał się i runął na stopnie głową. Dźwignięto okrwawionego, przybiegli cyrulikowie, ale pokazało się, że Konrad zaniemówił i stracił władzę w całej lewej połowie ciała. Boją się, czy przeżyje to zajście.

Teraz wiedział już Kuno, co znaczy ten nieład i roztargnienie, który go zadziwił od razu.

— A turniej? — zapytał.

— Może go odwołają. Tem lepiej dla nas. Byłe więźniowie dziś w nocy byli wolni. Dębicz czeka — dodał starzec i cicho wysunął się na korytarz.

Kuno nie mógł doczekać się wieczora, kręcił się, był wszędzie, spotykał z rozmaitymi ludźmi, nawiązywał nowe znajomości, widział się nawet z przeciwnikami swoimi z rycerskiej rozprawy i wogóle zachowywał się tak, że nawet ci, którzy słyszeli już coś o pojedynku, zamilkli, widząc młodego Utenrodego w pełni sił i świeżości.

Po wieczerzy, którą spożył w gronie dorodnej młodzieży, Kuno, stosownie do polecenia Dębicza, wymknął się wcześniej. Ból w ręce wzmógł się, zjawiła się opuchlina, a dreszcze przebiegały po ciele. Taki był nawet osłabiony, że trząsał się na nogach, ale pomimo to zachował spokój i moc panowania nad sobą.

Młody Utenrode, wszedłszy do stajni, zdumiał się, zastawszy ludzi z orszaku swojego pograżonych w takim śnie głębokim, że napróżno nawoływał, szarpał i starał się obudzić. Wobec tego stanął bezradny.

Wtem, jak z pod ziemi, wyrósł znów przed nim stary lirnik.

— Nie obawiajcie się o nich, miłośnicy panie, jutro wstaną zdrowi, z lekkim bólem głowy jedynie. Tak było potrzeba. Konie osiodłane

czekają już na was i na sprzymierzeńców. Chodźmy do figury Matki Boskiej!

Wszystko tu już było gotowe i po jakimś czasie, niezauważeni przez nikogo, wymknęli się z zagłębienia więźniowie polscy, przebrani w szaty orszaku młodego dziedzica Massenburga. Wynędziali, wychudli, ledwie na nogach trzymający się młodzieńcy, musieli być podszani na konie, a gdy Kuno ujrzał te szkielety niemal ludzkie, zwrócił się do lirnika:

— Chyba ślepy nie pozna, że to nie mogą być moi pacholki.

— Trzeba ich otoczyć zrzęcznie—odparł starzec — a potem od razu galopem z kopyta!

Niełatwo to było wykonać. Pomimo wieczornej pory na bliższych dziedzińcach roiło się od ludzi, wozy, konie, rozłożone chorągwie zagradzały drogę, a co najważniejsza, trzeba było przebyć kilka mostów zwodzonych.

Miał słuszną rację lirnik, gdy mówił, że Łukasz z Dębicza czuwa zawsze i wszędzie, w chwili też, gdy Kuno wahał się, jak poprowadzić więźniów, jak wydostać się za bramę, ujrzał jadących ku sobie kilku mężczyzn na dzielnych rumakach.

— Cóż to znaczy?—zawołał jeden z tych

mężczyzn, jadący przodem, a którego po głosie poznał od razu Kuno.—Cóż to znaczy, że młody pan Utenrode urządza wycieczki po nocach? Czy znów rozprawa krwawa? Czy może dla wypróbowania koni i ludzi przed turniejem?

Umyślnie podsuwał Dębicz te słowa, co zmiarkowawszy Kuno, rzekł z uśmiechem:

— Rozprawy krwawej nie mam dzisiaj, ale zakrzepły już członki i wyprostować je trzeba. Miło pohasać trochę przy blasku księżyca.

— Dobra myśl — zawołał Dębicz. — Jeżeli nie masz nic innego na celu, to służymy ci naszym towarzystwem. W drogę panowie!

Zwinnie, jakgdyby to był oddziałek karnych żołnierzy, towarzysze Dębicza otoczyli ze wszystkich stron orszak, Lux z Kunonem jechali przodem i w ten sposób dotarli do bramy, z kądem już ucieczka nie przedstawiała trudności.

Jak wicher pędzili jeźdźcy wielkim, bitym gościńcem, poczem skręcili w bok i przez pola puścili się w stronę widniejącego w oddali lasu. Dopadłszy tutaj, przystanął Łukasz:

— Czekał tu na mój powrót. Niedługo zabawię, oddam tylko wyzwolonych braci naszym w dobre ręce i wydam odpowiednie rozkazy.

Rzeczywiście nie upłynęła nawet godzina, gdy na spienionym koniu zjawił się znów Dębicz, wiodąc z sobą czterech młodzieńców w tych samych wprawdzie szatach domu Utenrodów i na tych samych rumakach, ale zupełnie niepodobnych do poprzednio uprowadzonych z zamku.

Wolno już teraz i rozmawiając o rzeczach obojętnych powracano do Malborga, gdzie na wstępie dziwny od razu przedstawił się oczom przybyłych widok.

Na basztach przy moście głównym zawieszono jakieś znaki i chorągwie, których koloru nie mogli dojrzeć w nocy Kuno z Luxem. Razwraz napotykali też wozy, kolasy, jeźdźców, którzy, jakgdyby spłoszeni nagle, opuszczali zamek krzyżacki. Wśród tych jeźdźców dojrzał Kuno piękną postać starego Kekeritza w towarzystwie Ruprechta z Minchofenu.

— Zawracajcie! — huknął Kekeritz.—Turniej odwołany, nad zamkiem zawisła żałoba.

— Co się stało? — zawołali Kuno z Dębiczem równocześnie.

— Wielki Mistrz Zakonu Konrad z Jungigen zszedł z tego świata ¹⁾). Nie pora na zaba-

¹⁾ Rok 1407.

wy i igrzyska, prędzej na wojnę krwawą i długą trzeba się przygotowywać.

Przez całą noc nie spał nikt w olbrzymich zabudowaniach malborskich, jeden tylko orszak Kunona z Utenrode ciągle w śnie twardym był pogrążony. Stary Diebel po raz pierwszy od lat wielu pieniał się ze złości i powtarzał:

— Chcieli nas podejść, chcieli nam odebrać możliwość zdobycia pierwszej nagrody, więc użyli do tego takiego haniebnego sposobu, że uspili sztucznie nasz orszak. Ale Bóg okazał łaskawość swoją i pokrzyżował ich plany. W każdym razie to nie rycerska sztuka. Upada Zakon, gdy taką wychowuje młodzież.

Nikt nie zatroszczył się o gości, każdy wyjeżdżał, jak chciał i kiedy chciał, często nawet bez pożywienia i posiłku. Bracia zakonnicy inne teraz, ważniejsze sprawy mieli na głowie i przez noc całą radzili nad położeniem, które się wytworzyło przez śmierć Konrada.

Podzielono się na dwa stronnictwa. Starsi i doświadczeńsi mężowie, dzielący ostrożność i przezorność zmarłego Mistrza, pragnęli na czele Zakonu widzieć równie doświadczonego męża, a szczególnie człowieka, któryby silną ręką ujął ster rządów, poskramiał krnąbr-

nych, tępił zniewieściałość, zniósł uczyty i światowe zabawy. Młodzi, rwący się do korda, dążący do okrycia się sławą wojenną, a przede wszystkim do z bogacenia się przy wyprawach na „niewiernych“, jednego tylko uważali godnym najwyższego zaszczytu: Ulryka z Jungingen, owego brata, który kłótnią niewczesną może przyspieszył zgon Wielkiego Mistrza.

Dzwon wieży marienburskiej huczał często, wzywając braci zakonnych na narady, a tymczasem gońce rozesłani do wszystkich dworów, obnosili wieść żałobną.

ROZDZIAŁ V.

Śluby w Malborgu. — Zemsta Krzyżacka pod Dobrzyniem. — Pomoc w potrzebie.

Rozradowało się oblicze starego Egona na widok powracającego w zdrowiu młodzieńca i Diebla. Doświadczony rycerz pochwalił zachowanie się Kunona, pytał o wszelkie szczegóły, a gdy wreszcie opowiedziano mu, że i dla czego turniej nie doszedł do skutku, zmarszczył czoło i rzekł poważnie:

— Szkoda Konrada, on jeden umiał panować nad tą rozhukaną rzeszą. Ulryk przyniesie Zakonowi zgubę, z czego nam cieszyćby się wypadało tylko, gdyby ta zguba nie stała się równocześnie pohańbieniem imienia niemieckiego. Na szczęście, nie doczekam już tej chwili, stary jestem i niewiele już mi się należy.

— Po cóż te smutne myśli? — przerwał Kuno czule.

— Nie łudzę się mój chłopcze. Czuję zbliżający się koniec i nie żałuję życia. Każdy umierać musi. Jeżeli czego mi żal, to opuszczać ten świat wtedy, gdy robota nasza zaledwie rozpoczęta, i gdy Związek Jaszczurkowy nie doszedł jeszcze do takiej siły, któraby mogła być groźną dla Krzyżactwa. Pocięsza mnie jednak to, że tradycję rodzinną zachowasz wiernie i dokonasz reszty.

Istotnie nie mylił się pan na Massenburgu, wiek późny, dawno zabliznione, a teraz odnowione rany i różne dolegliwości rzuciły go na łożo, z którego miał już nie powstać. W tydzień później zamknął także oczy na zawsze wierny Diebel, a Kuno-Przemko pozostał sam na zamku, przyjmując hołdy od poddanych, oraz życzenia od sąsiadów, z których niejeden ubiegał się, ażeby w dorodnym dziedzicu ujrzeć swego zięcia. Bogactwa, jakie pozostawił Egon, okazały się większe, niż nawet przypuszczano, a wszystko to razem wzięte, mogło w pychę wbić dorodnego dziedzica rozległych włości, skrzyń ze złotem i znanego, czcigł otoczonego imienia.

W takiej chwili postanowił Łukasz czuwać podwójnie i już na pogrzeb starego pana, odbyty z książęcą okazałością, przybył do Massenburga, ażeby odtąd wiernie stać przy boku Przemka.

— Część drogi przebyta szczęśliwie—rzekł, gdy znaleźli się sami. — Mógłbyś teraz albo osiąść wśród Niemców, używać dostatków i wieść żywot zwyczajnego dziedzica, albo zabrawszy to, co się da zabrać i unieść, powrócić do swoich i odstąpić przyłbicę. Ale nie na to przybyłeś tutaj i kłamałeś sobie i ludziom przez lat tyle.

— Znów przypominacie tę przysięgę—przerwał Przemko-Kuno z wyrzutem. — Czyż nie wypróbowaliście mnie jeszcze dostatecznie?

— Nie gniewaj się, nie o przypominanie bowiem tu chodzi, ale o naradzenie się nad obraniem dalszej drogi. A droga ta prowadzi połęg mnie tylko w jednym kierunku mianowicie w stronę Malbarga.

— Nie zrozumiałem was, Łukasz—wtrącił Przemko.

— A jednak to do zrozumienia takie łatwe. Przemysław z Krzekotowa Toporczyk zniknąć jeszcze musi na czas pewien, Kuno Utenrode

z Massenburga zostaje Krzyżakiem. Zbliża się już teraz na pewne krwawe, może ostateczne starcie z Polską, a wtedy ramię twoje i rada będą nam potrzebne. Jedź do Ulryka, złoż śluby zakonne, oddaj im wszystko złoto, na które tak są łakomi, a możesz być pewnym, że Utenrodego przyjmą otwartymi ramionami i dopuszczą do najwyższych urzędów. Ulryka pozyskasz łatwo, zachęcając go do wojny, pobudzając jego próżność, wystawiając słabość i brak woli króla Jagiełły.

— Czyż król Władysław rzeczywiście jest taki uparty i słaby, jak mówią tutaj? — zapytał Przemko, na co zaśmiał się Łukasz:

— Nie znają go oni jeszcze, ale poznają wkrótce. Jagiełło waha się ciągle, zwleka, ale równocześnie przygotowuje się dobrze w cichości i coraz nowe przeciw Krzyżactwu zawiera przymierza.

— Dobrze zatem — rzekł Przemko stanowczo. — Kuno Utenrode wstąpi do zakonu i przywdzieje na siebie biały płaszcz z krzyżem, wiedzcie jednak, że ta nowa próba tak długo jak poprzednia, okrągłych lat dziesięć trwać nie może. To byłoby już ponad siły moje.

— Nie lękaj się, tak długo Krzyżacy czekać nie zechcą.

Stary Dębicz okazał się teraz wprost nieocenionym doradcą i kierownikiem. Sam pojechał do Ulryka, opowiadał niestworzone rzeczy o charakterze, odwadze, rozumie i przebiegłości Kunona Utenrodego, co sprawiło, że nowy Wielki Mistrz nie tylko nie stawiał żadnych przeszkód, ale przeciwnie, sam dopomagał i przyśpieszał pasowanie na rycerza. Twardy zazwyczaj okres próby, w którym główny warunek tworzyła bezwzględna pokora i posłuszeństwo przy wykonywaniu wszelkich, nawet najprostszych posług, skrócono Utenrodemu na wyraźny rozkaz Ulryka, co wywołało szemranie starszej braci zakonnej.

Nareszcie nadeszła chwila, gdy otoczony wspaniałym orszakiem Wielki Mistrz zasiadł na podwyższeniu w wielkiej sali malborskiej. *Bracia rycerscy* utworzyli olbrzymie koło z przejściem po środku, wzdłuż ścian stanęli *spółbracia*, a ośmiu *braci wyświęconych* ustawiło się na stopniach od tronu.

Ulryk skinął, a na ten znak marszałek trzykrotnie młotkiem uderzył w drzwi i rozwarły się podwoje, a na salę wszedł w ścisłe opiętej, niby łuska mieniającej się zbroi Kuno, poprzedzony przez liczny orszak swojej służby dwor-

skiej. Pod ręce wiedli go Dytrych von Kekeritz i Lux von Dembitz.

Młody rycerz głęboki ukłon złożył najpierw Wielkiemu Mistrzowi, potem tak samo pochylił głowę przed resztą dostojników i wreszcie przyklęknął. Wtedy podniósł się Ulryk Jungingen i dotknąwszy mieczem pleców pochylonego młodzieńca, pasował go na rycerza Zakonu.

Wśród huku strzałów zaintonowali bracia wyświęceni pieśń na tę uroczystość przepisaną. Wielki Mistrz zaś otworzył pochód, który skierował się ku kaplicy. Tu ceremonia przyjęcia Kunona zakończyła się modłami i przemowami, poczem krążankiem przeszli wszyscy do sali biesiadnej na górnem piętrze, gdzie odbyła się taka uczta wspianiała, jakiej mury warowni malborskiej nie pamiętały od dłuższego już czasu.

— Nadarzy ci się, bracie — rzekł Wielki Mistrz, sadzając pod koniec uczty na znak niezwykłej łaskawości Kunona przy sobie — sposobność wykazania animuszu rycerskiego.

Młodzieńcowi zaiskrzyły się oczy, co jaknajlepsze wrażenie wywarło na Ulryku i siedzącym obok Henryku z Plauen.

— Czy wojna się przygotowuje? — zapytał Kuno. — A może z Polską?

— Jeszcze nie wojna zupełna, ale już jej przedsmak, przygrywka. Trzeba pokazać temu ciemiedze, temu dzikiemu Litwinowi, wypuszczonemu z puszczy i kniej na utrapienie ludzkości, że my tutaj dobrze trzymamy straż i potrafiemy zgnieść każdego, ktoby się nie chciał poddać naszej woli.

— Mówią, że Jagiełło nie chce wojny, że się lęka zakonu — odważył się wtrącić Kuno.

— Naturalnie, że się boi — zaśmiał się Wielki Mistrz rubasznie, a natychmiast zawtórowali mu towarzysze najbliżsi. — Cóż nas to jednak obchodzi? Jeśli on nie chce wojny, to go przymusimy, bo ona nam jest potrzebna. Litwę i Żmudź rzucimy pod nasze stopy, w Wielkopolsce zatknijemy nasz Krzyż aż po Łęczycę, a Jagiełłę zmusimy do posłuszeństwa.

— Daj to Boże! — westchnął Henryk z Plauen.

— Czy możesz wątpić o tem? — oburzył się Ulryk. — Dajcie mi takiej młodzieży więcej—tu wskazał okiem na Kunona — a nie Jagiełłę już, ale cesarza niemieckiego i samego papieża nawet wezwę do złożenia hołdu w Malborgu.

Wielki Mistrz podał Utenrodemu rękę do

pocałowania, co też Kuno uczynił, przyklękając na jedno kolano. Było to znakiem, że rozmowa skończona. Ale tym razem Ulryk odezwał się jeszcze:

— Możesz teraz na kilka dni odjechać do Massenburga dla dozoru nad gospodarstwem, a bądź pewnym, że gdy tylko coś już postanowię, natychmiast będziesz o tem powiadomiony i wezwany do przybycia.

Pomimo to Kuno przez trzy dni bawił jeszcze i ucztował w Malborgu, w wolnych chwilach odbywając ćwiczenia z podwładnymi. Czwartego dnia z nieodstępnym Łukaszem powrócił do swojego opustoszałego zamku, dokąd przybyli również dawni przyjaciele Egona i nowi wciąż członkowie coraz więcej rozgałęziających się „Jaszczurkowców”. Wszyscy chcieli się upewnić, że Kuno, choć złożył śluby i przywdział płaszcz biały, pozostał jednak dalej piastunem myśli, która ożywiała zmarłego Egona Utenrodego.

Bezczynnie, a więc nudnie płynęły dni na zamku massenburskim, mijały nawet tygodnie, a z Malborga żaden nie nadszedł rozkaz.

Zbliżała się już jesień po lecie tak skwar-
nem, że lud jęczał, nie mogąc wiele sprzątać z wypalonego pola. Dzień był dżdżysty, chmur-

ny, wietrzny, posępnie też przedstawiała się sala, w której nad wieczorem siedział Kuno z Dębiczem. Łukasz stał przy oknie i bębnił palcami o szyby.

Nagle urwał tę muzykę i wpatrywać się zaczął bacznie w drogę główną, wiodącą do bramy wjazdowej.

— Jeżeli się nie mylę, to dostrzegam w oddali jakąś majaczącą mi postać na koniu — rzekł.

Przemko-Kuno podszedł szybko i również wyglądał oknem.

— Nie mylisz się, ktoś jedzie i popędza z całych sił konia. Ciekawym kto to być może? Każdy gość na ten psi czas mile powinien być powitany.

Zaległa cisza, a po chwili objaśnił Łukasz krótko:

— Wysłannik z Malborga.

Wjechałszy w dziedziniec, jeździec zatrzymał się i oglądał, nie wiedząc, w którą zwrócić się stronę, co spostrzegł Dębicz i z okna kiwnął na przybyłego.

Z Łukaszem wyszedł przed bramę zamkową Kuno.

— Mam list od Wielkiego Mistrza — rzekł brat służebny i podał pismo z pieczęciami.

Utenrode szybko rozerwał te pieczęcie, paliła go niecierpliwość, ręce drżały. Przebiegł list okiem i schował go pośpiesznie, a zwracając się do Łukasza, rzekł:

— Zajmijcie się posłem z Malborga, konia wziąć do stajni, rządca niech nakarmi i napoi gościa. Czekam u siebie na wasz szybki powrót.

Sklonił się lekko krzyżakowi niższego stopnia i odszedł do swojej komnaty, gdzie wkrótce zjawił się także Łukasz.

— Jakież nowiny? — spytał Dębicz.

— Czytaj — zawołał — i osądź, czy mogę brać w tej rzezi udział.

Łukasz wziął list i odczytał półgłosem:

„Wielki Mistrz rozkazuje bratu Kunonowi Utenrode z Massenburga wyruszyć o świcie z pocztem conajmniej stu dobrze uzbrojonych ludzi, a kierując się ostrym marszem, zatrzymać się na polach pod Brodnicą. Tam odpocząć i złączywszy się z innymi oddziałami, nad którymi dowództwo obejmie Walpot Nesselwerde, ruszyć na Dobrzyń, który musi być przykładnie ukarany za ciągłe kłopoty, które nam sprawia ten hędzny gród polski. Załogę tamtejszą wyciąć w pień.

Wielki Mistrz, żądając bezwzględnego wypełnienia tego rozkazu, równocześnie wyraża nadzieję, że najmłodszy z braci krzyżowych zdobędzie nie tylko pierwsze laury wojenne, ale i dozgonną wdzięczność i przyjaźń naszą.

pod. *Ulryk Jungingen.*“

— Co robić teraz? — zapytał Przemko. — Chorobą wytłómaczyć się nie mogę, a iść po to tylko, ażeby w pień wybijać, bez żadnego powodu, braci swoich i na swojej ziemi, to ohydne.

Dębicz chodził wielkimi krokami i dumął długo, wreszcie przystanął:

— Niema rady, hufiec dziś jeszcze zebrać musisz, a jutro o świcie wyruszyć w drogę. Jedno tylko możesz zrobić: marsz ostry zamienić na powolniejszy, a cóż łatwiejszego, jak się usprawiedliwić, że drogi były trudne do przebycia, lub, że zmyliłeś kierunek?

— To mnie nie uratuje—zaprzeczył Przemko — a co ważniejsze, nie uratuje załogi dobrzyńskiej.

— Nie sądź tak pochopnie — łagodnie tłómaczył doświadczony Łukasz. — Licz przecież także coś na mnie. Ty wyruszysz jutro, ja dziś jeszcze, natychmiast.

Dwa najlepsze rumaki wybiorę w stajni, lu-

dzi swoich roześle na wszystkie strony i zanim wy nadciągniecie, mogą się już zebrać siły dostateczne do odparcia napadu.

W dwa kwadranse nie było już w Massenburgu Dębicza. Kuno krzątał się, formował hufiec, ze zbrojowni wydobywano rynsztunki, i kiedy wysłannik Wielkiego Mistrza odjeżdżał z zamku, widział tu taki ruch, iż mógł śmiało zaraportować o tem w Malborgu.

Stosując się do rady Łukasza, Kuno nie zwierzył się nikomu i nie powiedział, dokąd wędzie ten silny zastęp, rozmyślnie też kołował, to męczył konie i jeźdźców niepotrzebnymi przesadzaniem rowów, grobli, to zagłębiał się w las i szukał długi czas napróżno wyjścia, to wreszcie wprowadził hufiec w bagniska, w których konie grzęzły po pas. Wobec tego okazała się konieczność urządzania częstych i przewlekłych postojów, czyszczenia zwierząt, zbroi i odzieży, minęły też trzy doby, a orszak Kunona nie przebył nawet połowy drogi.

W obozie pod Brodnicą zbrali się już wszyscy wybrani rycerze ze swojemi hufcami. Niecierpliwiono się i sarkano, a jeden ze starszych mężów rzekł z przekąsem:

— Dziwny ten nasz Ulryk. Powierzać taką sprawę młokosowi, rzecz niebezpieczna.

— Ha! jego wola, trzeba czekać na Utenrodego—odpowiedziano z trwogą w głosie.—Robienie uwag i nieposłuszeństwo mogłyby być srogo ukarane przez Wielkiego Mistrza.

Czekano tedy jeszcze przez całą dobę, a kiedy i teraz nie przybył hufiec Kunona, zaczęto się poważnie niepokoić. Zwołano radę dowódców.

— Nie czekać, uderzyć odrazu! — wołali jedni.

— Polacy mogą się dowiedzieć przez szpiegów i przygotować się na odparcie—dogadywali drudzy.

— Cóż znaczy marna setka Utenrodego? — drwili inni.

— Wystarczy naszych.

— Walpot niech prowadzi!

— Na Dobrzyń! Na Polaków! Spławimy się w krwi Polaków, a mięso ich rybom damy na pożarcie!

— Zapał był tak wielki, że Nesselwerde nie mógł opierać się dłużej. Ruszono, a kiedy Kuno przybył na miejsce oznaczone, widział tylko, gdzie popasano i za szlakiem, pozostawionym przez konie, posuwał się, ciągle wolno, ku Dobrzyńowi.

Jeszcze pół dnia marszu, a dobiegnie do kresu. Noc jednak zapadła, przed hufcem Kunona stanął niby murem gęsty las i trzeba było znów urządzić popas.

Rozłożono się obozem, wódz zaś przemówił:

— Spóźniliśmy się, niestety! ale chociaż ominą nas może laury i łupy, powinność swoją spełnić musimy. O północy niech zagrają rogi, a gdy tylko rozwidniać się zacznie, pójdziemy na pomoc braciom naszym.

Sen szybko skleił powieki wszystkim, jeden tylko Kuno nie spał i budził zachęcał tych, którzy stać powinni na czatach.

Nagle las jakgdyby się poruszył, a nad koronami drzew ukazało się niebo czerwone.

— Pali się — zawołali czatownicy i zadęli w rogi.

Zgiełk zrobił się w tym małym obozie, widząc jednak, że niema niebezpieczeństwa, przyglądano się rozgorzałemu niebu.

— To nasi podpalili miasto z czterech stron. Usmarzą się Polacy, albo dadzą szyję pod miecz i topór krzyżacki.

Kuno zaciskał pięści i milczał. Był zły na Dębicza za to, że mu poradził iść na wyprawę zbójecką, i za to, że w porę nie zapobiegł nieszczęściu.

Las zaszumiał ponownie, a tym razem wprawne ucho wojaków rozróżniło wreszcie, że przekrada się przez gąszcz i pędem ucieka spłoszona przez ludzi zwierzyna. Nareszcie ukazali się też ludzie, przeważnie starcy, kaleki, kobiety i dzieci. Dziki wyraz twarzy i oczu świadczył o przerażeniu tych istot, które kalecząc sobie ręce i nogi, bez nakrycia głowy, boso, na wpół nago, pędziły przed siebie, nie wiedząc dokąd i po co pędzą.

— Stójcie! — krzyknęli groźnie czatownicy.

Wylękli przystanęli, a widząc przed sobą krzyżaków, padali na kolana i bili twarzami o ziemię.

— Nie zabijajcie! — rozległy się błagania. — My niewinni, już dosyć naszych łez i męki.

Śmiech rubaszny, gruby, zwierzęcy, przyzwyczajonych do mordowania najemnych żołdaków był na to odpowiedzią.

Kuno zbliżył się i krzyknął groźnie:

— Stać i nie ruszać się! Wara od tych ludzi!

A zwracając się do gromady bezdomnych, która wciąż rosła, rzekł łagodnie:

— Opowiedzcie, co się tam stało.

— Straszne się działy i dzieją rzeczy w Dobrzyniu — zaszłochoło kilka osób naraz. — Rzeka krwią płynie.

Już od kilku dni chodziły po całej okolicy posłuchy, że mszcząc się za ugoszczenie Wielkiego Księcia Witolda, wydano w Malborgu rozkaz ukarania naszego starosty, Jakóba Chełmickiego.

Przestrzeżony dowódca natychmiast wysłał też ludzi na wszystkie strony i do wszystkich ważniejszych warowni, wzywając o pomoc.

Nie tak to jednak łatwo zgarnąć większą gromadę obrońców. Rycerskiego ducha nie zabraknie na Mazowszu, każdy też chętnie pośpieszał ku Dobrzyńowi.

Ciągnęli tedy ludzie aż z pod Płocka, Zakroczymia, Brześcia, Gostynina, Przasnysza, nawet z Inowrocławia podążali Kujawiacy, a nie żałując nóg ani swoich, ani też koni, zaopatrzeni w broń, jaką się dało zebrać, przemykali się przez lasy i błota, byle jaknajprędzej dotrzeć z pomocą dzielnemu staroście.

Niestety! deszcze rozmoczyły ziemię i przeprawa w wielu miejscach okazała się prawie niemożliwa.

Cóż tedy dziwnego, że nie zdążyli nadciągnąć w porę?

Starosta Jakób z trwogą patrzył to na wschód, to na zachód. Ten starzec z białą jak śnieg, brodą, nie spał, nie jadł, był wszędzie, zatykał otwo-

ry, wzmacniał mury i czekał z jednej strony napadu, z drugiej posiłków, a kiedy ujrzał choćby jednego nowego obrońcę, witał go, jak brata, zagrzewał, krzepił, umacniał na duchu.

Sam słyszałem, jak pełen otuchy wołał, obchodząc wały:

— Niechaj tylko jeszcze odwloką Krzyżacy swój napad choćby na dwa dni, niechaj tylko nadpłynie bodaj dwustu mężnych rycerzy polskich, a przyjmę ich tak, że im się odechce kuś się po raz drugi o mój Dobrzyń.

Serce nam rośło, gdyśmy słyszeli te słowa i patrzyli na tego męża, który ani na chwilę nie tracił ducha i nadziei.

A kiedy ujrzeliśmy tych jego synów, niby dębczaki w lesie roślących i barczystych, nieodstępujących ani na krok swojego rodzica i czytających w jego oczach, odgadujących myśli, uprzedzających rozkazy, to zdawało się nam, że nie z krzyżactwem już nawet, ale z całym zastępem wysłanników z piekła damy sobie radę.

Nagle spadł grom. Staroście dano znać, że ze wszystkich stron nadciąga wojsko krzyżackie.

— Zamknąć bramy! Spuścić mosty!—hu-

knął Jakób z Chełmicy i rozdzieliwszy załogę na dwanaście stron, każdemu z synów oddał garstkę walecznych do rozporządzenia.

— Dwunastu miał synów — jęknęła jedna z kobiet. — Dwunastu orłów, a czy z nich który pozostał przy życiu?

— Walczyli wszyscy mężnie—jak lwy—i do ostatniej chwili wierzyli, że nadciągnie pomoc, że nasi wpadną na tyły krzyżackie. Starosta do ostatka zagrzewał i nie tracił serca, gdy kwiat młodzieży padał, gdy jego synowie, okryci ranami, narażali się na śmierć niechybną.

Co się potem stało, opowiadać nawet nie umiemy, kiedy bowiem miasto zaczęło płonąć, zwołał starosta nas na wały i rzekł:

— Jeszcze znam taką drogę, że możecie się uratować. Niech uchodzi, kto może.

— Chodźcie z nami! Prowadźcie! — błagano.

— Nie! ja tu zostanę z synami, żywy nie oddam Krzyżakom Dobrzynia.

Więc uciekaliśmy, a on, ten starzec, z wysokości wałów błogosławił nas na drogę.

Starosta Jakób z Chełmicy żył jeszcze, kiedyśmy uciekali, ale związany był łańcuchami

i musiał patrzeć na to, jak dwunastu jego synów dręczono, zabijano, a potem wrzucano do wody.

— Sąd ostateczny — wołano. — Miasto płonie, ludzie padają, jak muchy, wszelkie zwierzę ryczy, wyje, kwiczy, wszelki dobytek zniszczony.

Jeszcze nie skończyli opowiadać, gdy jeden z podpiłych, starszy rangą żołdak, znów zaśmiał się dziko i zwołał:

— Chodźmy na Dobrzyń! Zabawimy się tam dobrze!

Kuno dobył miecza, przyskoczył do niesfornego i ciął go tak silnie przez ramię, że zuch wobec bezbronnych zwałił się jak kłoda.

— Ja tutaj rozkazuję i nie pozwolę nikomu dawać sobie wskazówek!

Czyn ten zdumiał, ale nie wywołał szemrania, przeciwnie Kuno, który dotąd nie zdobył sobie jeszcze miru w szeregach, urósł na wodza, z którym źle byłoby grę rozpoczynać.

— Tych nędzarzy usadowić przy ognisku—zwrócił się do starszych. — Do Dobrzynia nie ma po co się wybierać, załatwiono się tam bez nas. Posuniemy się jednak naprzód i damy znać Nesselwerdemu o naszej obecności. Może ten

wódz poprowadzi nas jeszcze w inną stronę, na nową bitwę.

Zaledwie tego domawiał, gdy rozległ się w lesie wrzask zmieszanych głosów.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać trwożnie, Kuno jednak rzekł zimno:

— To nasi wracają po skończonej bitwie. Trzeba ich przyjąć godnie.

— Formuj się! — zabrzmiała komenda i orszak rzucił się do koni, przypasywał zbroję, zajmował zwolna miejsce na polu.

* Nikt się nie spieszył, nie widząc ku temu żadnego powodu.

A las zadrżał po raz drugi, słychać było nawet jakieś głosy, jakieś śpiewy, uderzenia kopyt końskich o ziemię.

Wygnańcy dobrzyńscy, wygrzewający się teraz przy rozpalonem z chrustu ognisku, podnieśli głowy, zaczęli nasłuchiwać, a oblicza ich inny przybierały wyraz, jakgdyby na nich malowała się pewna radość i nadzieja.

Nastała chwila milczenia i oczekiwania. Wtem podbiegł do Kunona olbrzymi Leberer, wojak, którego twarz pełna była blizn, że ledwie oczy mrugały wśród tego wstrętnego ciel-

ska. Był to mąż doświadczony, nie jeden raz, ani dziesięć razy miewał do czynienia z Polską i Litwą.

— Panie i wodzu!—zawołał.—To nie są nasi bracia. Przecież słyszę wyraźnie śpiew „Bogarodzico“, a wiadomo, że Polacy tylko wtedy wyrzucają tę pieśń z swoich piersi, gdy idą do boju.

Kuno wybuchnął śmiechem:

— Przywidzenia, mój Lebererze. Tam Dobrzyń płonie, nasi harcuja, oddziela nas rzeka, zkadżeby więc tutaj znaleźć się mieli Polacy? Że modlą się, to nic dziwnego, zawsze w niebezpieczeństwie człowiek ucieka się do Boga.

— A może jednak zebrano naprędce siły, które dążą na odsiecz i chcą nas osaczyć?—tłómaczył uparty wojak.

— Nas?!—znów zaśmiał się Kuno.—A któż może wiedzieć, że spóźniliśmy się i nie poszli pod Dobrzyń?

— Nie mówię też wcale, ażeby im chodziło o naszą garstkę, kto wie jednak, czy nie chcą zabiedz drogę wszystkiemu wojskom Nesselwerdego, gdy powracać będziemy do Malborga?

— Jeszcze raz ci powiadam, że to przywidzenia. Zajmij się lepiej sformowaniem oddziału, jak na paradę.

Leberer nieprzekonany, ze zwieszoną głową odstąpił, a Kuno przyglądał się niebu, które zwolna przestawało się różowieć, a natomiast powlekało się grubą osłoną chmur czarnych, jakgdyby dymu ze spalonych domów i chat do-brzyńskich.

Nagle wódz krzyżacki drgnął. Po ciszy, która zaległa w lesie na czas pewien, zabrzmiała znów pieśń bojowa, polska, a brzmiała teraz tak rozgłośniej, że niemal chwytać można było uchem pojedyncze wyrazy. Przy ognisku wszczął się gwar, Leberer popędzał maruderów.

— Polacy idą! — zawrzało w obozie.

Kuno dosiadł konia i z mieczem w ręku czekał. A pieśń biegła z różnych stron, potężniała, wybuchała z taką siłą, że nie ulegało wątpliwości, iż kilkaset, a może nawet kilka tysięcy głosów ją podtrzymuje. Nieprzyjaciela jednak ciągle nie było jeszcze widać, wobec czego nikt nie mógł wiedzieć, z której strony nastąpi natarcie.

Kuno Utenrode ustawił swoje wojsko w ten sposób, że utworzył się czworobok, twarzami zwrócony na wszystkie cztery strony świata, sam zaś podjechał na mały pagórek i bystre oko wyteżył, a miecz ścisnął w dłoni. Zadumał się młody rycerz nad swoją dolą.

— Jeżeli to są naprawdę hufce polskie—mówił sam do siebie—jeżeli idą na odsiecz, to zginąłem odcięty z tym całym poczem swoim. Mniejsza o tych ludzi, to ludzie najemni, handlujący krwią swoją i czy tu, lub tam dadzą głowę, niewielka strata. Ale co będzie ze mną? Podnosić rękę na swoich braci, ginąć, jak zwyczajny Krzyżak, którego imię ze wstrętem wspominać będzie Polska, to okropne. Tyle lat cierpiałem i taki marny spotkać mnie może koniec. A może poddać się? Nie, nie! lepiej zginąć. Do Niemców wracać nie byłoby po co, a swoi nie uwierzyliby i ze wzdargą odtrąciłiby odstępę.

Znów cisza, jak przed zrywającą się burzą, a potem rozległ się świst taki straszny, jak gdyby całe piekło rozpoczęło taniec. Ukryci pomiędzy drzewami Polacy wypuścili od razu setki strzał z kołczanów, próły zaś one powietrze i wydawały jęk przeraźliwy.

Kuno ocknął się nagle, wspiął konia, jak wicher spadł z pagórka i krzyknął aż zahuczały dęby i buki:

— Ukryć się w lesie! Ognia z kusz! Tarcze i miecze w górę!

Rozkaz był nie do wykonania. Gdzież tu ukryć się, gdy z poza każdego niemal drzewa wyłaniał się człowiek, uzbrojony w łuk i kołczan?

Leberer nie tracił jednak serca. Podjechał do Kunona i rzekł cicho:

— Byle tylko przetrzymać pierwszy atak, to nic nam się nie stanie. Przecież to nie jest wojsko wyćwiczone! To zbieranina, utworzona na prędce. Podpalmy las, a uwędzą się wszyscy, lub wybiegną na pole, a wtedy wystrzelamy ich jak zające. Ogień zobaczą nasi pod Dobrzymiem i przybędą na pomoc.

— Głupio mówisz!—ofuknął Kuno.—Zanim my ich wystrzelamy, jak zające, sami padniemy jak kaczki na bagnach.

A do przeredzonego już nieco hufca krzyknął:

— Z toporami i mieczami w głąb lasu!

Chcąc dać dobry przykład, wyrwał topór z rąk najbliższego stojącego żołnierza, zeskoczył z konia i pędził ku lasowi. Za nim ruszył orszak cały i rozprysnął się bezładnie.

Już docierał Kuno do drzew, gdy potknął się o pień i upadł. Jego hufiec pomknął obok i wtargnął do lasu.

— Trzymaj go, to wódz!—rozległy się krzyki nad głową Kunona, który napróżno starał się dźwignąć z ziemi. Muskularne ramiona chwyciły go i uniosły w górę.

— Przywiązać go do drzewa! — wołano. — Niech ginie, jak nasz starosta, jak Jakób z Chełmicy, i niech przed śmiercią patrzy na zgon wszystkich swoich ludzi.

Nie zdążył hufiec Kunona podpalić lasu, o tem też, co się w jego wnętrzu działo, nie wie-



Wojak krzyżacki.

dzieli nic uczujący na zgłiszczach Dobrznia żołnierze Nesselwerdego. Ani jeden z wojaków o barwach Utenrodów nie zdołał przedrzeć się do obozu krzyżackiego, przeszło sześćdziesięciu padło od rąk polskich, reszta błąkała się wśród gąszczów, drżała z głodu i chłodu, nikt jednak

nie odważył się wychylić na otwarte pole. Dopiero około południa dwóch obdartych, broczących krwią, straszliwie porąbanych żołnierzy zdołało dotrzeć do namiotu Nesselwerdego, przynosząc wieść o zasadzce na Kunona i o przygotowanej odsieczy.

Nie chciano im zrazu wierzyć w obozie krzyżackim, kiedy jednak zaczęli opowiadać różne byłe i niebyłe historye, oczywiście męztwo całego oddziału przedstawiając w sposób jaskrawy, zastanowił się Nesselwerde i inni rycerze:

— Cóż się stało z Kunonem? — pytano.

— Poległ śmiercią bohaterską — brzmiała odpowiedź.

— A doświadczony Leberer?

— Poległ.

I szły długo takie pytania i odpowiedzi, wreszcie wódz rzucił:

— Iluż do dyabła było tych Polaków i kto im przewodzi?

— Któżby przeliczył ryby w stawie?—odparli uratowani.— Są ich tysiące, a wszyscy od stóp do głów uzbrojeni. I wodza mają wielkiego. Widzieliśmy go na koniu bułanym w pełnej zbroi — łgali wierutnie.

Rycerze spojrzeli po sobie. Zbiegom wydano nową odzież, przyłączono ich do szeregów.

Odbyła się wielka narada wojenna i nie upłynęła nawet godzina, gdy Nesselwerde kazał



Rycerstwo polskie i wojak litewski.

po cichu szykować się do pośpiesznej drogi powrotnej.

— Byle tylko ująć pogoni—przynagłał wódz.—Wielki Mistrz będzie z nas zadowolony, załoga Dobrzynia wycięta w pień, a łupy wieziemy tak bogate, że skarbiec malborski napęcznieje dobrze.

Odetchnęli Polacy, załatwiwszy się z oddziałem Kunona.

— Teraz ratujmy Dobrzyń! — ozwały się okrzyki.

— Zapóźno — mruknął dowódca polski, zwany Winczem z Wroniawy.—Umarłych nie wskrzesimy.

— Mamy wodza krzyżackiego, cóż z nim teraz uczynimy?—zapytał Spytko z Kaliszewa.

— Prowadźcie mnie do niego! — rozkazał Wincz.

— Młody to jeszcze człowiek—objaśniono.

— I dobrze mu patrzy z oczu.

— A jednak trzebaby mu głowę uciąć i dla postrachu posłać do Malborga. Niech poczują, że się umiemy bronić i że po raz drugi nie wejść na naszą ziemię bezkarnie—wołano z szeregów.

Wszystko to słyszał Kuno-Przemko i widział naokół siebie roziskrzzone gniewem i rozpaczą oczy, zaciśnięte pięści.

Wincz z Wroniawy przybliżył się do przywiązanego do drzewa Krzyżaka i zapytał łamaną niemieczyzną o nazwisko.

— Kuno z Utenrode-Massenburg.

— Czy z wolnej chęci wtargnąłeś do naszego kraju, czy też na rozkaz z Malborga?

Kuno milczał.

— Mów, bo cię potrafię do otwarcia ust przymusić.

Krzyżak zaśmiał się:

— Nikt i nigdy nie zdoła mnie do niczego przymusić.

Wincz spojrział groźnie i oczy jego spotkały się z łagodnym wzrokiem Krzyżaka.

Dowódca polski wzdrygnął się i cofnął o krok, a natychmiast przebiegło mu przez myśl:

— Gdzież ja widziałem te oczy, to oblicze, tę postać?

Wincz zwrócił się do otoczenia:

— Rozejdźcie się — rzekł. — Chcę sam się rozmówić z tym rycerzem, a co postanowię, to będzie spełnione.

Gdy już nikogo nie było w pobliżu, Wincz rozciął więzy krępujące młodzieńca.

— Jesteś, rycerzu, wolny. Wracaj do Malborga, ale po drodze zatrzymaj się w Olsztynie. Tam czekać na ciebie będzie Łukasz z Dębicza.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Kuno.

— Idź w spokoju—odparł dowódca.—Dru-

gi raz nie uszłoby ci to bezkarnie, ale Wincz z Wroniawy wie co zawdzięcza tobie.

— Nic nie rozumiem—tarł sobie Kuno oczy, jak po śnie przykrym.

— Ruszaj w drogę!—powtórzył Wincz— a gdy przybędziesz do Malborga, pomódl się za ocalenie przed figurą Matki Boskiej na trzecim dziedzińcu zamkowym. Ona cię natchnie i wytłómaczy to cudowne, dawniej moje, teraz twoje ocalenie.

Wieść o wymknięciu się od śmierci, albo niewoli Kunona Utenrodego przyniósł do Malborga pierwszy Lux von Dembitz. Nie chciano mu wierzyć, ażeby człowiek już przywiązany do drzewa i otoczony strażą, mógł się wydostać z takiej opresyi, uwierzono jednak opowiadaniom Dębicza o zasadzce, jaką urządzono na Kunona, który byłby się niechybnie stawił na czas w oznaczonym miejscu, gdyby nie ten wypadek nadspodziewany.

Ukazanie się w zamku malborskim młodego Utenrodego silnie wywarło wrażenie. Witano go, jak bohatera, a sam Wielki Mistrz i najwyżsi dostojnicy zakonnicy wieszowali mu, podnosili jego męstwo, przebiegłość, przepowiadali znakomitą przyszłość.

— Początek zrobiłeś świetny—oświadczył Ulryk.—Postępuj tak dalej, a przynależne go-dności nie ominą cię z pewnością. Może jeszcze Zakon powoła cię kiedyś na mojego następcę.

Choć młody wiekiem, Kuno stał się już poważną w kole rycerskim, nie więc dziwnego, że odpoczywający po znojach Utenrode zawezwany został znów wkrótce do Malborga.

Tym razem czekało go nowe, zaszczytne i wymarzone przez niego polecenie.

ROZDZIAŁ VI.

Z Wawelu pod Grunwald.

Upalnym, tak dusznym dniem lipcowym 1409-go roku, że z trudem oddychać można było w tym żarze słonecznym, wjeżdżał znów Kuno Utenrode na gościniec, wiodący do zamku Malborskiego, a po przebyciu bram natychmiast wezwany został przed oblicze Wielkiego Mistrza. Tym razem Ulryk nie siedział na podwyższeniu, lecz szybkimi krokami zmierzał obszerną salę, a od czasu do czasu padały z ust jego urywane wyrazy, które chciwie podchwytywał stojący w zamyśleniu Wielki Komtur, Werner Tettingen.

— A więc mamy nareszcie tę upragnioną wojnę. Ha, ha, ha! Jagiełło grozi przez tego kpa w szatach arcybiskupich, Mikołaja z Ku-

rowa, że całą mocą wtargnie do Prus, gdy ja najadę Litwę.

— Drezdenka mu się zachciewa! — mruknął Werner.

— Niedoczekanie wasze. Zanim się spostrzedz zdołacie, zdobędę Dobrzyń, zajmę Rypin, Lipno, oblegnę Bobrowniki i wyrwę wam z pod serca najpiękniejszy kawał ciała polskiego.

— Trzeba to zrobić, a nie mówić—podbudzał Tettingen.

— I zrobię tak, zrobię!—huknął Ulryk porywczo, waląc pięścią w stół, przed którym przystanął.—Ale po rycersku należy postąpić i dlatego wezwałem Kunona Utenrodego, ażeby pospołu z Robertem Noldenbergiem zawiózł Jagielle wypowiedzenie wojny. Ten żubr litewski uwierzy wtedy, że nie zlekliśmy się jego groźby.

Niecierpliwy Ulryk podbiegł do drzwi i zakręcił kołatkę. Na salę wbiegło dwóch słujących.

— Czy rycerze Kuno i Robert przybyli?—zapytał.

— Są, wasza miłość, i czekają rozkazów.

— Niech stawiają się natychmiast.

Bez długich powitań, bez tych ceremonij,

których przestrzegano w innych okolicznościach bardzo surowo, przystąpił Ulryk wprost do rzeczy:

— Uznaliśmy was godnymi wielkiego zaszczytu udania się natychmiast do Krakowa i doręczenia tych pergaminów samemu królowi Władysławowi. Jest to wypowiedzenie wojny. Jak się macie zachować, nie będę was uczył. Oczy i uszy trzeba mieć otwarte, a o wszystkim zawiadomić nas po powrocie.

— Czy święte wziąć dużą? — zapytał Robert Noldenberg.

— To tylko przeszkadza. Wybrać dziesięciu ludzi, ale powtarzam „wybrać“ ich trzeba. Niechaj i oni mają oczy i uszy.

Na zamku Malborskim rozbrzmiewał już jeden, wielki okrzyk: „Wojna“, wiadano też, z jaką misją wyruszają dwaj młodzi rycerze, więc heroldów witano i żegnano okrzykami.

Skłonny do rozmowy, nawet często krotofilny Robert, wszczynął po drodze dyskurs, sypał anegdoty, przechwalał się czynami bohaterскими, drwił z dziezy polskiej, trzymającej ukradkiem z niewiernymi i udającej tylko chrześcijaństwo, a na to wszystko odpowiadał mu Kuno półgębkiem, jakgdyby z łaski.

— Widzę, że wam nie w smak ta podróż — rzekł wreszcie Robert. — A może boicie się wojny?

Pogardliwym nieco spojrzeniem zmierzył Kuno mówiącego, poczem przemówił dobitnie:

— Któżby się z rycerzy lękał wojny? Przecież to nasze rzemiosło. Rad poznam również stolicę polską, panów tamtejszych i samego króla. Chwila jednak jest bardzo poważna, a nie należę do tych, którzyby z lekkim sercem wyrokowali o wynikach starcia. Polacy i Litwini bronić się będą rozpaczliwie i krwi po obu stronach pocieknie wiele.

— Kpij z tego, bracie. Nasze bitne, wywiczzone rotę rozbiją, rozmiotą po świecie wszystkich Litwinów i Polaków. Ulryk wie, co robi i wie z jakim wojskiem pójdzie do boju. Czyż to nie widziałeś tych hufców nadreńskich, niemieckich, francuskich, angielskich, szkockich i innych, które zewsząd dążą pod skrzydła naszego zakonu? A to jeszcze nie koniec. Kwiat rycerstwa zbiera się jeszcze ciągle i jak piasku w morzu, tyłu nas stanie murem przeciw słowianom.

Kuno milczał i jakgdyby chciał rozmowę na inne sprowadzić tory, powstrzymywał konia, a oglądając się na wszystkie strony, zapytał:

— Czy tylko nie zmyliliśmy drogi? Sprawa jest pilna i trzeba dobrze znać kierunek, ażeby dotrzeć jaknajprędzej do Krakowa.

— Rzeczywiście, przydałby się jaki przewodnik — powtórzył Robert.

Dojeżdżano do niewielkiej, rozrzuconej bezładnie osady, którą opasywał łątki do przebycia w bród strumyk. Nad tą wodą, w cieniu łożyny, odpoczywało trzech mężczyzn, którzy na widok rycerzy krzyżackich podnieśli się, zdjęli nakrycia z głowy i przybliżyli się w kornej postawie, jakgdyby prosili o jałmużnę. Poznał Kuno wśród nich starego lirnika i zawołał wesóło:

— Hej, stary! Znasz przecież kraj cały, a może nawet ziemię całą, czy chcesz służyć nam za przewodnika? Wynagrodzimy cię hojnie.

Lirnik spojrział filuternie, a Kuno porozumiewająco:

— A dokąd-to dostojni panowie zdążają? Czy może znów do Dobrzynia?

— Dalej trochę — zaśmiał się Robert. — Do Krakowa.

Stary aż odskoczył z udanym przestraczem.

— Juści, że drogę znam najkrótszą, ale tam pójść się boję. Król Jagiełło podobno Krzyżaków

schwytyanych piec każe na rożnie i mięso to każe podawać na ucztach.

Robert nie śmiał się już, ale wściekle zaciśkał pięści, co jednak nie przelękło lirnika, który też prawił dalej:

— Do Krakowa z dziesięciu ludźmi iść niebezpiecznie. Pod Dobrzyń, na jednego starostę, uderzyć można w kilkaset koni, ale Wawelu broni smok i tysiące rycerzy.

Stary zaczął śpiewać i przygrywać na lirze jakąś pieśń, której słowa rozumiał tylko Kuno. Było tam i o Rytygierze, i o Wandzie, i o królu Kraków.

— Głupi, waryat, albo pijany — mruknął Robert i pogardliwie wzruszył ramionami. — Szkoda czasu, jedźmy dalej.

Ale Kuno nie zważał na to:

— Jeżeli nie do Krakowa, to zawieź nas do pierwszej gospody — rozkazał.

Stary lirnik i jego towarzysze widocznie w dobrych byli humorach, bo szli dziwnie radośnie, podśpiewywali i umyślnie mówili głośno, ażeby Kuno mógł ich posłyszeć. A rozmawiali o wojnie, o przygotowaniach Jagiełły, o tem, że Żmudz stoi już w ogniu, a Witold z Jagiełłą pójda teraz ręka w rękę.

— Gospody niema w tej osadzie, ale popaść konie można w tej oto zagrodzie—rzekł lirnik, a pomagając Kunonowi przy zsiadaniu z konia, szepnął:—Tu mieszka nasz człowiek. Tamtego rycerza trzeba spoić i nakłonić do wypoczynku, a wtedy przybędzie do izby na prawo. Tam wam opowiemy wiele rzeczy bez świadków.

Sakwy podróżne otworzono, służba rozstała składane stołki, a że Robert Noldenberg znany był z tego, iż mimo prawdziwie rycerskiego animuszu nie pogardzał jadłem i trunkiem, więc też ucztowano obficie, tem więcej, że konie potrzebowały odpoczynku dłuższego.

— Sen pokrzepi nas teraz—rzekł Kuno— a wieczorem i nocą lepiej będzie jechać o chłodzie.

— Dobra myśl—przywodził Robert i ułożył się wygodnie, derę końską kazawszy sobie zwinąć i podłożyć pod głowę.

Za przykładem panów poszła służba i legła również, gdzie kto mógł i chciał.

Kuno udawał, że śpi, a kiedy już był pewny, że wszyscy w śnie są pogrążeni, wstał i podszedł do domu, kierując się ku izbie na prawo. Gospodarz upewnił, że mówić można bezpiecznie.

— Gdzież się podział Łukasz z Dębicza? — zagadnął rycerz.—Zniknął nagle, jakgdyby zapadł się w ziemię.

— Musiał zniknąć, panie—odparł lirnik.— W Malborgu zaczęto coś węszyć i podejrzewać. Kilku z naszych, którzy przebiegali tę ziemię, schwytano, a chociaż nic przy nich nie znaleziono, bo my oczy, uszy i usta tylko mamy, ale nie kieszenie, wzięto ich na tortury. Podobno ten i ów wyśpiewał z wielkiego bólu i podobno wspomniął nazwisko Łukasza. Ostrzeżliśmy naszego pana w porę, więc uciekł i jak mówią, teraz jest w Krakowie.

— Dobrze się stało, że pan Łukasz pojechał i ostrzegł króla, że Krzyżacy gotowi są do wojny—wtrącił gospodarz.—Król Jagiełło nie wierzył, ale Dębicz tak długo nalegał, że i w Polsce zaczęły się zbrojenia, o których w Malborgu nic jeszcze nie wiedzą.

— Oj, zaślepienci!—zawołał lirnik.—Toć przecież nie trzeba wielkiej mądrości, ażeby wiedzieć, że król nie bez celu urządza ciągle łowy, ażeby zjednoczyć wojsko i wprawić do boju. Nasz jegomość, Łukasz z Dębicza, nie zasnął gruszek w popiele. Przekonawszy króla i panów rady, zaczął się kręcić po wszystkich dwo-

rach i krajach, a ściągać rycerstwo polskie do boku królewskiego. Z Węgier przybyli już waleczni rycerze: Zawisza Czarny z Garbowa, brat jego Farurej, Tomasz Kalski klejnotu Róża, Wojciech Malski z Nałęczów, Dobiesław Puchała Wieniawita, Skarbek z Gór Habdank, Michał z Kisielnicy Toporczyk, Zbyszko z Potulic Grzymalita, a Pilawitów i Gryfów co niemiara.

Kuno-Przemko, słysząc te wszystkie imiona, aż rósł na duszy, ale posmutniał zaraz i rzekł więcej do siebie, niż do słuchaczy:

— Dlaczego o mnie nie pomyślał w tak ważnej dla ojczyzny chwili? I dlaczego właśnie mnie skazano na to, że muszę mojemu od Boga naznaczonemu królowi zawieść wypowiedzenie wojny?

Wszyscy czterej zerwali się i przyskoczyli zaciekawieni:

— Więc już wojna postanowiona? I to wy, panie, jedziecie z tem orędzim—zawołał lirnik. —Nie można zwlekać. Ty, Janku, pędź do najbliższego naszego posterunku i powiedz, co się święci. Pan Łukasz niech wie pierwszy i niech czeka w Krakowie. Teraz już chętnie będę waszym przewodnikiem.

Kuno, jakgdyby tego nie słyszał, powtórzył znów:

— Zapomniał o mnie Łukasz, ale ja nie zapomnę o Polsce. Doreczę królowi pismo Ulryka i zostaną w Krakowie, bodaj jako prosty ciura obozowy.

Lirnik spojrział z przerażeniem w twarz rycerza i złożony ręce, jak do modlitwy, błagał:

— Nie czyńcie tego, panie. Łukasz z Dębicza pamięta, on wam też przeznaczył coś ważniejszego. Cierpliwości, bo popędliwość gubi ludzi, a szczególnie wodzów.

Długo jeszcze gawędzono w izbie gospodarsza. Wszyscy towarzysze wraz z Robertem spali tak twardo, że w końcu, gdy już księżyc miał się ku zachodowi, Kuno podszedł i zaczął budzić ludzi swoich.

— Czas w drogę—wołał.—Zdobyłem doskonałego przewodnika, który nas poprowadzi najbliższymi, bo prostymi drogami.

Rozespany Robert zaledwie spojrział na tego przewodnika, w którym trudnoby się było domyśleć nawet starego lirnika. Siwa broda gdzieś znikła, długa katana przeobraziła się w suknię krótką i opiętą, sandały zmieniły się na buty z cholewami. I ruchy zrobiły się inne, starzec wyglądał teraz na mężczyznę w pełni sił i zdrowia. Jednego z koni, które trzymano w odwo-

dzie na wszelki wypadek, przeznaczono Andrzejowi, tak bowiem nazwał się sam przewodnik — i pochód ruszył dalej. Jechano nocami, omijając wielkie osady i miasta, a podróż długą urozmaicano sobie śpiewami i dowcipami.



W A W E L.

Przewodnik okazał się doskonałym, nie upłynęło bowiem nawet całych dni siedm, gdy w oddali zarysował się Wawel. Jeszcze jeden popas dla przyrowadzenia koni, rynsztunku i odzie-

ży do porządku. Przewodnik skłonił się grzecznie i czekał na zapłatę.

— Jesteście panowie rycerze u celu, jam tu już niepotrzebny — rzekł, oddając konia służbie, a znów zbliżywszy się do Kunona, szepnął: — U Naftuły w piwnicy będą wiedzieli, gdzie się obracam. Powiedzcie tylko hasło „Pasięka“, a Żyd otworzy usta.

Rycerze złota mieli dużo, otworzono przeto skrzynię, którą wieziono na osobnym wozie i każdy z posłów Ulryka rzucił po garści przewodnikowi.

Dnia 6 sierpnia wjechało na Kazimierz, a ukazanie się tutaj dwóch białych płaszczy krzyżackich wywołało zdumienie. Przez „króla chłopków“ osadzeni tutaj mieszkańcy żydowscy wylegli na drogę, przyglądali się uważnie, a dzieci biegły za orszakiem tak natrętnie, że trzeba było nieraz wstrzymywać konie, ażeby one nie roztratowały niesfornych. Nie zatrzymując się nigdzie, Kuno z Robertem udali się wprost do zamku królewskiego i kazali oznajmić Jagielle o swoim przybyciu.

— Może przychodzą z nową różdżką oliwną pokoju—zawołał Władysław radośnie.—Wprowadzić ich natychmiast!

Otoczony niewielkiem gronem panów rady, Jagiełło gotów był nawet podbiedz na spotkanie, wstrzymała go jednak zimna, poważna postawa wysłanników, którzy w milczeniu złożwszy pokłon, podeszli i bez słowa podali pergamin.

Król oddał pismo najbliższemu stojącemu prymasowi gnieźnieńskiemu.

Grobowa cisza panowała w sali, król tylko niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę, patrzył na blade oblicze dostojnika Kościoła, który też zwinął spokojnie papier, ułożył go na stole i rzekł:

— Ulryk Jungingen przesyła w języku niemieckim wypowiedzenie wojny. Już w tem samym, że butnie porzuca łacinę, tkwi obraza.

— Trzeba mu odpowiedzieć po polsku — zawołał popędliwie Jagiełło głosem grubym, a słowa padały krótko, urywanie.

— Po cóż odpowiadać?—wtrącił się złośliwie uśmiechnięty Mikołaj z Kurowa.—Znam ich i wiem, że w chwili, gdy my opracowywać będziemy odpowiedź, oni już łupią i grabią nasze siedziby.

Jagiełło patrzył ponuro w ziemię, poczem wzrok swój obrócił ku niebu, podszedł do ryce-

rzy i zdawałoby się jeszcze grubszym głosem, jakgdyby niemożliwym u zwykłego człowieka, oznajmił:

— Więc wojna. Zanieście waszemu Wielkiemu Mistrzowi oświadczenie, że acz z bólem serca, ją przyjmuję.

Znów ukłonili się rycerze krzyżacy i jak dwa cienie zniknęli w krużgankach wawelskiego, potężnego zamczyska.

— Nawet nas nie zatrzymali—mruczał Robert.—Niegościnni są ci Polacy, a tu nam i naszej świcie przydałby się odpoczynek i uczciwe pożywienie.

Mimowoli Kuno roześmiał się wesoło:

— Już też chyba nie można żądać, ażeby nas ugaszczali, gdy z takim przyjechaliśmy darem. Trzeba sobie wyszukać schronienie, a jutro puścimy się w drogę powrotną.

Znów białe płaszcze otoczyli Żydkowie, chętnie ofiarowujący swoje usługi, a mówiący językiem, przeplatany wyrazami niemieckimi.

— Zaprowadźcie nas do jakiego obszernego domu, gdziebyśmy siebie, ludzi naszych i konie mogli pomieścić — zawołał Robert.

— O jej! Jeżeli tylko o to chodzi, miejsca znajdzie się dosyć — i cała armia starszych

i młodszych mężczyzn pobiegła przodem, wskazując drogę rycerzom krzyżackim.

Kuno z Robertem minęli kilka ulic, wszędzie napotykali dużo przechodniów i jeźdźców, a nie jeden przystawał, spojrział ponuro i splunąwszy, szedł dalej pośpiesznie.

Znalazszy się już na kwatérze, Kuno który zauważył objawy niechęci u ludności Krakowa, zwrócił się do Roberta:

— Pożywimy się trochę i odpoczniemy, a potem trzeba się wybrać na miasto. Chętnie chciałbym poznać bliżej tę stolicę Polski.

— I ja to uczynię — zawołał drugi Krzyżak. — Myśl dobra.

— Ha! dobra i niedobra—zauważył Kuno. —Ze świtą przechadzać się rzecz mało przyjemna, a znów bez orszaku może być niebezpieczna. Czy nie widziałeś, jak pluli i odwracali się od nas przechodnie? Wieść o tem, że przywieźliśmy wypowiedzenie wojny, rozniesie się prędko po Krakowie, miasto całe zawrze gniewem i na niejedną przykrość, albo nawet ranę moglibyśmy być narażeni.

Robert, ogromnie pewny siebie w otoczeniu sił zbrojnych i podobnych jemu rycerzy, czując się teraz bezbronnym, wyłupił oczy na mó-

wiącego, a we wzroku malowała się trwoga. Pomimo to nadrabiał jeszcze miną:

— Ulryk strasznie zemściłby się za zniewagę wyrządzoną jego postom.

— Malborg daleko— mruknął Kuno.

— Więc lepiej zostańmy w domu, a jutro rano ruszymy z powrotem.

— Nie wytrzymam w tej dusznej izbie. Jeżeli chcesz, to zostań, ja zaś każę sobie przynieść jakie szaty, przebiorę się po polsku i wyjrzę okiem na miasto.

Nie pomogły odradzania Roberta, usłudźni Żydkowie dostarczyli ubrania i kiedy wieczór już zapadł, Kuno sam jeden wymknął się na ulicę Krakowa.

Nawet najbardziej podejrzliwy człowiek nie domyśliłby się, że ten młodzieniec dorodny, który teraz podążał wolnym krokiem, rozglądając się ciekawie naokół, przed chwilą dopiero zrzucił z siebie płaszcz krzyżacki. Może tylko chód miarowy, wyrobiony w szkole rycerskiej zakonu, może tylko pewna zwinność ruchów, odmiennych od ociężałości mieszkańców tutejszych, różniły go od reszty otoczenia, poza tem jednak był to szlachcic o wybitnych rysach polskich, jakimi zaludniony był ten kraj od brzegu do brzegu.

Kuno-Przemko, zapuściwszy się w głąb miasta, ku Wiśle, wartko toczącej swoje fale, przystanął i odetchnął pełną piersią. Serce zabiło mu, jak młotem, gdy ujrzał znów tę górę, na której wznosił się zamek królów, gdy naokół słyszał dźwięk mowy polskiej, gdy widział, że to wszystko takie odmienne od tego, na co patrzył w zawojowanej przez Krzyżaków ziemi pruskiej, że to wszystko takie swojskie i kochane..

Młodzieniec przyśpieszył kroku i szedł na oślep przed siebie, wciąż naprzód, ku Wawelowi i tej Wisłce, która szumem swoim nęciła go i przywoływała ku sobie. Znalazł się wreszcie w miejscu odludnem, wolnem od wszelkich zabudowań.

Rycerz krzyżacki obejrzał się raz jeszcze, przykleknął, oczy wznosił na górę zamkową, potem spojrzął na niebo i przypadł do ziemi, chwytając ją rękami, jakgdyby chciał objąć w ramiona, całując namiętnie. Garściami czerpał wodę z Wisły i pił ją, pił i pił, a żaden nektar, podawany na stołach panów niemieckich i w Malborku, nie orzeźwił go tak i tak nie wzmacniał, jak ten mętny płyn z szarej polskiej rzeki.

Coś zaszumiało w krzakach nadbrzeżnych i to dopiero oprzytomniło rycerza. Wzdrygnął

się i nasłuchiwał, a gdy szum żaden się nie powtórzył, zaczął się Przemko zastanawiać nad tem, co zrobił przed chwilą. Gdyby go tu podpatrzono! Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, co mogłoby nastąpić. Może wziętoby go za szpiega, może za zbira, który zapragnął wtargnąć do sypialni królewskiej, a może odkryłoby się wszystko przedwcześnie.

— Trzeba wracać — pomyślał rycerz — a przede wszystkim trzeba odszukać owego Naftułę, o którym wspominał Andrzej.

Długo kołował Przemko, zanim wreszcie znów dotarł na Kazimierz, gdzie jeszcze kręcili się kupcy, przystający na ulicy i szwargocący z sobą z żywą gestykulacją. Na widok młodego szlachcica kupcy przystanęli i przyglądali się ciekawie, wreszcie obskoczyli go i zarzucać zaczęli pytaniami i ofiarowaniem swoich usług.

— Wskażcie mi, gdzie tu jest piwnica Naftuły—rzekł Przemko tonem rozkazu.

— Naftuły? Ktoby go nie znał—zawołali.— Widać, że wasza miłość po raz pierwszy jest w Krakowie. Tam wszyscy panowie chodzą na miód. Cy-cy! Takiego miodu nie ma nigdzie, sam król każe sobie od niego przysyłać beczki.

— Nie gadać dużo, a prowadzić!—rzucił ry-

cerz niecierpliwie, a zgraja Żydów popłynęła przodem, prowadząc Przemka do odległego o kilkadziesiąt kroków domu.

Otworzono drzwi do wąskiej, długiej sieni, do której już przez pomieszczone w ścianie drzwi dochodził gwar zmieszanych głosów męzkich. Przemko wynagrodził usługnych przewodników i choć uczuł nieco lęku, silną ręką otworzył drzwi, wiodące do bardzo dużej komnaty, z ustawionymi naokoło ławami i stołami. Opary różne i mdłe światełka, umieszczone u pułapu, nie pozwoliły młodzieńcowi rozejrzeć się od razu w izbie, dostrzegł jednak wolne miejsce na ławie i usiadł spokojnie.

Wejście nowego, a nieznanego gościa zauważono natychmiast, przybiegł też szybko siwy żyd z długą brodą w czarnej, atłasowej katanie, a kłaniając się wielokrotnie, zapytał, czem może usłużyć.

— Miodu — rzekł Przemko krótko.

Zwolna wzrok rycerza przyzwyczaił się do tego półmroku, jaki tutaj panował, przyglądał się też współbiesiadnikom, którzy rozsiedli się po ławach. Rozmawiano o wszystkim, tylko nie o wojnie, z czego Przemko wywnioskował, że król Jagiełło rozkazał jeszcze wieść o wypowiedzeniu zachować w tajemnicy.

Kiedy przerzedziły się już trochę szeregi gości, a młodzieniec sam jeden pozostał na ławie i odsunął się w sam róg izby, można już było pomyśleć o rozpytaniu się o Łukasza z Dębicza. Skinął tedy Przemko na gospodarza.

— Czy jeszcze miodu? — zapytał Naftuła usłużnie.

— Wypiłbym, ale sam nie lubię — odparł z uśmiechem znaczącym.

— Przecież o godne towarzystwo nie trudno. Tu sami panowie siedzą.

— Nie lubię nowych znajomości. Gdyby tu był mój przyjaciel, Łukasz z Dębicza, to z nim trącilibyśmy się chętnie.

Żyd odsunął się o krok i spojrzał podejrzliwie, poczem rzekł:

— Takiego pana nie znam, on u mnie nie bywa.

Przemko podniósł głowę do góry i oczy ich się skrzyżowały.

— „Pasięka“ — wymówił młodzieniec cicho, lecz dobitnie.

Naftuła nic nie odpowiedział, ale Przemko widział, że cofnął się w głąb, kręcił na wszystkie strony, aż wreszcie zniknął w przyległej izbie.

Żyd długo nie wracał i już rycerz zaczął się

niecierpliwić, gdy wreszcie drzwi od sieni się otworzyły, a do komnaty wszedł Naftuła w towarzystwie dwóch jeszcze Żydów. Przeszli wszyscy obok i znów zniknęli, nie spojrzawszy nawet w stronę rycerza. Już miał też Kuno-Przemko, znecierpliwiony czekaniem na odpowiedź, wysunąć się z obozu, gdy podbiegł mały Żydek i rzekł cicho:

— Ojciec czeka w sieni.

Tem szybciej wyszedł młodzieniec i rzeczywiście spotkał w sieni Naftułę, który go wziął za rękę i w milczeniu przeprowadził do swojego alkierza.

— Widzisz teraz, że jestem wszędzie na każde zawołanie twoje — odezwał się jeden z Żydów i szybko zdjął przyprawioną brodę ze zwojami zakręconych przy uszach włosów.

Mimowoli Kuno parsknął śmiechem na ten widok i wybąknął tylko:

— To wy, Łukaszu?

— Jak widzisz — odparł Dębicz — kim zaś jest mój towarzysz, tego chyba łatwo się domyślisz. Nie będziemy jednak teraz czasu tracić marnie na czcze gawędy. Czas nagli, jeszcze nie zaczęło świtać, a już będę w drodze.

— Dokąd? — zapytał Przemko. — Czyż to

tak pilne? Jakże chętnie pomówiłbym z wami dłużej, zwłaszcza teraz, gdy takie ważne rozstrzygają się sprawy, gdy ważą się nie tylko losy Polski, ale również moje własne losy.

— Wierzaj mi, że wiem o wszystkim i dlatego właśnie muszę odjechać ztąd jaknajprędzej.

— Czy znów na tę przeklętą ziemię krzyżacką? Na samo wspomnienie, że mam wracać tam, do tych ludzi, dreszcz mnie przejmuje i trwożą.

— A jednak wracać musisz, tak jest — musisz. Cierpliwości! Zbliża się chwila straszliwego rozrachunku z gadem krzyżackim, ale to jeszcze się odwlecze.

— Jakże to być może? — zdumiał się. — Przecież przywożem dziś i doręczyłem same-mu królowi Władysławowi wypowiedzenie wojny? Ulryk już plądruje, już wojska krzyżackie obsadziły ważniejsze miejsca nadgraniczne. Ziemia Dobrzyńska, Drezdenko, przepadną.

— Ha! trudno — rzekł Łukasz z rezygnacją. — Król Jagiełło nie może i nie powinien wyruszyć ku obronie. Władysław, nasz pan miłościwy, zbiera dopiero wojsko. Za kilka dni pociągnie ku Wiśle. Od księcia Witolda nade-

szła wiadomość, że mimo najlepszej chęci, dopiero na zimę będzie gotowy. Potrzeba zwlekać.

Przemko załamał ręce i jęknął:

— A więc: stało się, Zakon będzie tryumfował.

— Jeszcze to wszystko w ręku Boskiem. Nie rozpaczajmy. Polsce potrzebny jest rozejm, właśnie też udaję się na dwór książąt Oleśnickich, ażeby wybadać, czy Czesi nie zechcieliby w tem pośredniczyć. Wracaj do Malborga i czekaj, Andrzej doniesie ci w porę o wszystkim.

Pożegnano się czulej, niż zwykle i Przemko wrócił znów na kwaterę, ażeby przywdziać na nowo znienawidzony płaszcz z krzyżem. Naza jutrz ruszono w drogę, a znów przez ziemię polską przewodnikiem był Andrzej, który w pół drogi, gdy już wiadomy był kierunek, zniknął, jakgdyby zapadł się w ziemię.

Wielki Mistrz pytał o wrażenie, jakie wywołało wypowiedzenie wojny na Jagielle i jego otoczeniu, niewiele jednak mogli opowiedzieć o tem Kuno z Robertem.

— Przyjmijcie za dobre załatwienie sprawy — rzekł Ulryk — moje podziękowanie.

To mówiąc włożył im na palce pierścienie,

które upoważniały do stawienia się w komnatach Wielkiego Mistrza bez przeszkód. Rycerz, obdarzony takim pierścieniem, w którym znajdować się miały relikwie cudotwórcze, mógł również odwiedzać namiot Ulryka, a w każdym razie był zabezpieczony przed wszelkimi zamachami i pociskami wrogów.

— Jedźcie do domów i nie odpoczywając, sformujcie swoje hufce, z którymi udacie się w stronę Bydgoszczy — dodał i skinieniem głowy pożegnał rycerzy.

Pełen nadziei, że przecież przyjdzie dla niego chwila wyzwolenia, dążył Kuno Utenrode-Massenburg wraz z innymi na pole pod Bydgoszczą. Co się dalej stanie, z tego nie zdawał sobie sprawy, wiedział tylko już teraz, że Łukasz nie zawiedzie i w odpowiedniej chwili nastręczy mu sposobność pomszczenia się za wszystkie krzywdy polskie, na tych, którym wprawdzie służył, ale których z głębi całej duszy nie przestawał nienawidzić równie gorąco, jak to było wtedy, gdy jako chłopiec ciągnął z działkiem do pasieki nad granicą.

Pijane szaleńcem wojennym szły zastępy krzy-

zackie pod Bydgoszcz, ducha zaś podnosiły jeszcze skwapliwie rozsiewane w obozie wieści o coraz nowych zwycięztwach i o tem, że Witold poświęca Żmudź, lecz dla ochrony Litwy nie chce łączyć się z Jagiełłą.

— Nie pozostawimy kamienia na kamieniu! Zaróżowimy wszystkie rzeki krwią polską! — chełpili się Krzyżacy i pałali jedną tylko żądzą: jaknajprędzszego przytarcia rogów poganinowi, temu z puszczy litewskich przedwcześnie wypuszczonemu żubrowi, Jagielle.

Nareszcie wysłannicy donieśli, że wojsko polskie zbliżyło się pod Bydgoszcz. Zaczęto się przygotowywać, ostrzeć miecze i topory, krótkie, urywane rozbrzmiewały wśród hufców krzyżackich rozkazy. Minął jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a żadne pławienia się w krwi polskiej wojsko czekało napróżno na wydanie ostatniego hasła do boju. Natomiast na narażdzie rycerzy zakonnych posłyszał Kuno, że książęta Oleśnicy, ojciec i syn, przybyli z zaproszeniem do zgody.

— Niema zgody! — rwali się młodzi i więcej krewko usposobieni.

— Milczeć! — krzyknął jeden z dowódców surowo. — Nie nam sądzić. Zrobimy to, co na-

każe starszyzna, a zwłaszcza nasz wielki Ulryk Jungingen. Czyż wam to potrzeba ciągle przypominać, że tylko pokora i posłuszeństwo czynią potężnym nasz zakon?

„Mut zeigt auch der Mameluk,
„Gehorsam ist des Christen Schmuck.“¹⁾

Kunonowi nietrudno było wobec tego domyśleć się, że Łukaszowi powiodło się zjednać dla Polski książąt Oleśnickich, nie łączył się też z tymi, którzy niecierpiwili się i chcieli gwałtownie uderzyć jaknajprędzej. Nie oburzał się i nie sarkał, jak inni, gdy obwieszczono, że hufce znów rozpuszcza się do domów dlatego, że przyszło z Polską do dziewięciomiesięcznego rozejmu. Przeciwnie, dał tem znów dowód, że posiada najwyższą ozdobę chrześcijańskiego rycerza — posłuszeństwo.

Rozpoczęła się długa, bardzo śnieżna zima, 1410-go roku, Kuno zaś na zamku swoim w Massenburgu przeżywał dni ogromnie nudne, nieprzeplecione żadnym ważniejszym wy-

1) „Odwagę okazywać potrafi każdy Mameluk, posłuszeństwo jest ozdobą chrześcijaństwa.“ (Mamelukami zwano w Egipcie niewolników z obcych krajów).
Przyp. aut.

padkiem. Czasem tylko, ale bardzo rzadko zjawiał się w podwórzu zamkowym stary lirnik, a służba dziwiła się, że młody pan tak polubił smętne śpiewy tego człowieka, iż godzinami całemi zatrzymywał go u siebie, gawędził długo i kazał sobie nucić różne pieśni.

Pozostawszy w takich razach sam na sam z Przemkiem, Andrzej otwierał swoją skarbnicę różnych wiadomości i opowiadał to o zjeździe Jagiełły z księciem Witoldem w Brześciu, to o drugim takim zjeździe w Nowym-Sączu, to o sojuszu z carem Złotej Ordy Dżeladynem, to o nadciągających posiłkach Włochów, Besarabów, Ormian i t. p.

Stary lirnik drżał, gdy do Massenburga przyniósł wiadomość:

— 100,000 wojska stoi w pogotowiu, ale królowi jeszcze tego mało i ażeby złudzić Krzyżaków, wyprawia polowania głośne, udaje, że nie widzi całej grozy.

Nadeszła wiosna deszczowa, a po niej rozpoczęło się lato tak upalne, że starzy ludzie nie pamiętali równej spiekoty. Zboża dojrzywały przedwcześnie, nie kwapiono się jednak do roboty w powietrzu bowiem wisiała wojna.

Do Massenburga nadszedł już w końcu ma-

ja rozkaz wyprowadzenia hufców w pole i oddania ich pod główną komendę komtura tucholskiego, Henryka.

Kuno wiedział, że teraz pójdzie w bój krwawy, Henryk bowiem słynął z tego, że przed sobą kazał nosić tak długo dwa gołe miecze, aż nie umoczy ich w krwi polskiej. Tem więcej, mając takiego wodza, troszczył się o to, czy spełnią się marzenia, czy Łukasz nastreczy sposobność do wywarcia zemsty i czy raczej nie padnie martwy na polu bitwy. Przeraziło również Kunona, gdy spostrzegł te zwięszające się ciągle zastępy krzyżackie. Czy król Jagiełło zdoła się oprzeć tym w stal zakutym, od stóp do głów uzbrojonym wojskom? Może jeszcze się cofnie, może jeszcze przedłuży rozejm?

Płonne nadzieje! Już w pierwszej połowie maja wyszedł Władysław Jagiełło z wojskiem z Krakowa, zatrzymał się w Korczynie, w połowie czerwca odbył nabożeństwo w klasztorze Świętokrzyskim, poczem postąpił do Wolborza.

O tem wszystkim wiedział Kuno i inni rycerze zakonni, zgromadzeni w wielkim obozie po lewym brzegu Wisły pod Świeciem. Starcia spodziewano się w każdej chwili, czekali jednak długo i zaczęto się niepokoić.

— Jagiełło stchórzył, waha się — drwiono w obozie, a tymczasem król polski, zamiast podażyć pod Bydgoszcz, jak tego spodziewał się Ulryk Jungingen, szybko zmienił kierunek i pomknął na spotkanie Witolda, dążącego od wschodu.

O takim zwrocie dowiedziano się w obozie Ulryka zapóźno, szpiegowie bowiem w przebraniu, nauczeni przez Dębicza, raz wraz najfałszywe i krzyżujące się z sobą wiadomości przynosili do obozu. Gdyby im można zaufać, to Jagiełło stałby się jak Pan Bóg wszędobecnym, wszyscy bowiem zapewniali, że widzieli go na własne oczy to na południu lub północy, to na wschodzie lub zachodzie.

Nareszcie nie można już było zataić, że wojska polskie przeprowiły się pod Czerwińskiem przez Wisłę, że wzmocniono załogę posiłkami książąt mazowieckich, Janusza i Ziemowita, i że połączył się także z nimi Witold i han tatarski.

— Na Malborg idą! — huknięto w obozie krzyżackim i Ulryk kazał zatrąbić do pochodu ku granicom polskim, ażeby zagrozić Polakom przejście przez Drwęcę.

Uczyniono to tak sprawnie i szybko, ścia-

gając artylerję z Malborga i innych warowni, że Kuno widział już, iż gdyby król chciał się przedostać przez Drwęcę, niechybnie poniesie klęskę sromotną. Ostrzedz króla Jagiełłę stało się teraz jedynem jego marzeniem. Już gotów był nawet sam nocą przedrzeć się do obozu polskiego, zaniechał jednak tego zamiaru, gdy dostrzegł w szeregach swoich nową postać, wpatrującą się bacznie w niego.

— Kto wy tacy i skąd przybywacie? — zapytał żołnierza, przybranego w szaty, noszone przez setników wojsk zaciężnych.

Żołnierz stanął wyprostowany, podniósł rękę w górę i odwrócił pas, na którego odwrotnej stronie ukazał się teraz napis: „Ufaj mu—Łukasz.“

— Chodźcie za mną! — rozkazał Kuno i tak poprowadził towarzysza, że obaj znaleźli się w niewielkim parowie, zasłoniętym przed okiem ludzkim.

— Nie poznajecie mnie, panie — rzekł tajemniczy żołnierz — a ja przecież jestem jednym z tych, którym uratowaliście życie, wyprowadzając z lochów malborskich. Nazwisko moje Mieszko z Gostuszy.

— Gdzież Wincz z Wroniawy? — zapytał Przemko. — Gdzie Łukasz z Dębicza?

— Tam za Drwęcą — wskazał Mieszko ręką. — Mnie wysłano tutaj, ażebym się trzymał was i spełniał wasze rozkazy.

— Przychodzisz w porę — zawołał Przemko żywo. — Siadaj natychmiast na konia i pędź do Łukasza. Powiesz mu, że żądam, ażeby przestrzegł króla. Przez Drwęcę przejść nie można. Czekaj zguba niechybna.

— Jakże się tu przedostać? — szepnęła Mieszko zafrasowany.

— Nie moja w tem głowa, ale twoja — rzucił Przemko i skończył rozmowę, która w końcu mogła zwrócić uwagę.

Hufcom Kunona Utenrode przykazał Henryk tucholski zająć pozycję w małym lasku za bystrym strumykiem, wpływającym do Drwęcy. Rycerz spełnił polecenie, a rozłożywszy ludzi, usiadł na pniu i w zamyśleniu przyglądał się biegowi huczącej po kamieniach wody. Zamyślenie to przerwał mu ruch w jego własnym obozie, a za chwilę czatownicy przyprowadzili jęczącego, obdartego flisaka, który tłómaczył się, płakał, prosił i wiedziony był przed oblicze dowódcy. Zmrok już zapadał, pomimo to jednak Kuno poznał przebranego Mieszka z Gostuszy.

— Schwytaliśmy tego szpiega — wołali czatownicy zdaleka. — Czy każesz go, miłościwy panie, powiesić na suchej gałęzi, czy porąbać toporami?

— Cóż ten człowiek zrobił? — zapytał wódz surowo.

— Przemykał się na tratwie do polskiego obozu — odpowiedziano. — Zapewne wiezie jakieś nowiny.

Kuno Utenrode zaśmiał się wesoło:

— I cóż taki nędznik może nam szkodzić? Puścić go wolno! Niech idzie, niech powie Polakom, co widział, a jeżeli nie skłamię wtedy, to możecie być pewni, iż raczej dopomoże nam, niż zaszkodzi. Jagielle odejdzie ochota do boju z takimi zastępami, jakie tu ujrzał ten człowiek.

Czatownicy spojrzeli po sobie, ale spełnili posłusznie rozkaz wodza i za chwilę odbiła łódka od brzegu, mknąc ku drugiej stronie Drwęcy. Noc przeszła spokojnie, rano zaś dowiedziano się, że obóz polski nad Drwęcą został zwiniony. Kuno tryumfował:

— A, nie mówiłem — wołał — że małoduszny Jagiełło nie ośmieli się nas zaczepić?

Wielka radość ogarnęła zastępy krzyżackie, zaczęto hulać, pić, weselić się, jakgdyby już

wyprawiano stypę pogrzebową nad mogiłą Polski.

Cicho, bez szumu posuwał się Jagiełło ku północy, przeszedł Działdowo i stanął pod Dąbrownem ¹⁾). Ruch ten wojsk polskich, acz znów zapóźno, dostrzeżono w obozie krzyżackim, Ulryk tedy dał rozkaz posuwania się ku wschodowi.

Pochód odbywał się w nocy. Po dniu upalnym zerwał się wicher, błyskawice oślepiające przebiegły po niebie, rozlegał się huk gromów, a deszcz rześisty bił po koniach i ludziach, którzy też zasłaniali twarze i szli za swoimi dowódcami prawie na oślep. Drogę rozświecała tylko czasami luna, pochodząca od wznieconego w zdobytem Dąbrownie ognia. Nikt się nie pytał, co będzie dalej, wiedziano tylko, że musi nadejść kres i że jutro przyniesie jednym śmierć i niesławę, drugim zwycięstwo.

W tych warunkach pochodu trudno było utrzymać szyk bojowy, zdawało się też, że szeregi to przerzedzają się, to znów zbijają w kupę, że dowódcy odsuwają się daleko od swoich hufców. Byle tylko świt nadszedł,

¹⁾ Gilgenburg.

a wszystko od razu doprowadzi się do porządku.

Kuno-Przemko, jak inni, otulał się płaszczem przed deszczem i nie dbał o tych, którzy podążali za nim. Inne myśli zajmowały go teraz. Starcie nastąpi za chwilę, a Dębicz nie daje żadnych wskazówek. A przecież Łukasz czuwa, on jest gdzieś w pobliżu, czego dowodem choćby ten Mieszko z Gostuszy.

Obok Kunona przesunął się jeździec, tak samo w płaszcz otulony. Nie zdziwiło to rycerza, kiedy jednak ten towarzysz przymuszać zaczął konia, ażeby się zrównać z koniem jego, zastanowiło to Utenrodego i spojrzął na sąsiada.

— „Łukasz“ — „Pasięka“ — rzekł nieznanomy. — Przynoszę wieści od Dębicza. Łukasz przykazuje wam połączyć wasz oddział z trzema pułkami chełmińskimi, które w ostatniej chwili przejdą na stronę polską.

— Jakże to będę mógł uczynić bez wiedzy Henryka tucholskiego? — zapytał Kuno.

— Nie moja w tem głowa, ale wasza — odrzekł rycerz, a Kuno po tych własnych słowach swoich poznał w mówiącym Mieszka z Gostuszy, który nie odwrócił się jednak i nie zniknął, lecz mówił dalej: — Chełmińszczykami

dowodzi sam Ulryk, więc poznać ich łatwo. Tam chorągwi jest wprawdzie aż szesnaście, ale na trzy możemy liczyć, dowódcami bowiem są „Jaszczurkowcy,“ czekający tylko na odpowiednią chwilę, ażeby zrzucić jarzmo krzyżackie. Szczególniej pewny jest młody rycerz, Walter Ohnesorge, jemu też można zaufać zupełnie.

Więcej nie dowiedział się Kuno, przejazd bowiem dalszy zrobił się bardzo wązki i grzązki, płynące więc wciąż szeregi rozgrodziły rozmawiających z sobą po cichu mężów.

Nad ranem dnia 15 lipca deszcz ustał, niebo się wypogodziło i tylko wiatr jeszcze dął, choć słońce przypiekało mocno. Można się było już rozejrzeć dobrze i zasięgnąć języka. Wyśłani na zwiady szpiegowie donieśli też wkrótce, że wojsko polskie zajęło pozycję w pobliżu Ulnowa¹⁾, pomiędzy wsiami Grunwaldem i Tannenbergiem, w okolicy porośniętej gęsto gajami i lasami.

Dzika i opuszczona była to okolica, chociaż bowiem od strony Grunwaldu zieleniły się bujne łąki i niwy, to one jednak nikły wobec ugoru, a dalej jeszcze zamarłego stepu, który ciągnął

¹⁾ Faulen.

się ku Tanenbergowi. Jedynie sześć ogromnych dębów tworzyło rodzaj kępy na tej ogromnej, blisko milę rozciągającej się przestrzeni.

— Nie umieją sobie nawet obrać miejsca dobrego — drwiono wśród rycerzy krzyżackich — sami idą ku nam, jak barany na rzeź prowadzone.

— Zapewne nie będą też tutaj długo popasali — zauważył jeden z dowódców — jak wogóle wszystko zdaje się wskazywać, że Polacy jeszcze ciągle unikają bitwy.

— Trzeba im się ukazać — postanowiono wreszcie i w ślad za tem Ulryk Jungingen rozkazał jednej chorągwi posunąć się tak naprzód, ażeby ją dostrzeżono w obozie polskim.

W przechwałkach Krzyżaków nie brał udziału Kuno, przeciwnie, choć młody i niedoświadczony, wiedział on doskonale, że lepszego miejsca nad to, które zajęli Polacy, połączeni z Litwinami, trudno byłoby dobrać. Zasłona z lasów i gajów sprzyjała Polakom, chroniła ich bowiem od opadnięcia z wszystkich stron, na wypadek zaś, gdyby bitwa zawiązać się miała w parowach leśnych, niewprawy do prowadzenia walki w zamkniętej przestrzeni rycerz krzyżacki nie ostałby się wobec zwinnych synów Litwy, Rusi i Wołoszy.



Witold, W. Książę Litewski.

Dzień stawał się coraz upalniejszy, w blasku słońca błyszcząły zbroje i szyszaki, rzucając blask oślepiający naokół. Sam Ulryk i komturowie przebiegali, ustawiali szeregi, a spoglądając na te potężne, świetnie zaopatrzone hufce, rósł Ulryk i uśmiechał się trumfująco. Dumni wódz Krzyżaków nie wiedział i nie przeżuwał, że w obozie polskim również są zadowoleni z obronnej pozycji, i że Wielki książę Witold, który objął dowództwo i stał się duszą wszystkiego, nalega na jaknajszybsze ustawienie się w szyku bojowym.

Ulryk zaczął się niecierpliwić. Otoczony kołem najprzedniejszych rycerzy stał na wzgórzu, z dumą wiódł okiem po tych zastępach swoich, i chętnie słuchał drwin, które padały z ust zaszników.

— Cóż robi ten Jagiełło? — wołano. — Czy myśli, że tutaj puszcza Białowieska, gdzie można zaszyć się w głąb i czekać na dzika, lub niedźwiedzia z oszczepem w ręku?

— Jagiełło modli się — przyniesiono przez wywiadowców nowinę. — Podobno Witold się niecierpliwi, a król umyślnie przedłuża nabożeństwo.

— Strach przed śmiercią objawia ten poga nin — zaśmiano się wokół.

— Możeby i nasze szeregi, rycerskim obyczajem, odmawiać zaczęły modlitwy — odezwał się jeden z rycerzy duchownych.

— Dobrze — zgodził się Ulryk. — Skróci to nam czas oczekiwania.

Rozległy się odpowiednie rozkazy i za chwilę popłynęła modlitwa przed bojem, a rozbrzmiewała ona tak potężnie, że niby pomruk jakiś groźny docierała do obozu polskiego.

Po odprawieniu modłów Ulryk znów zaczął przebiegać szeregi, a kiedy zbliżał się do chorągwi Henryka tucholskiego, wysunął się na czoło Kuno:

— Z prośbą idę — rzekł.

Ulryk spojrział łaskawie, a Utenrode kończył:

— Widzę, że nasz oddział nie tak prędko pójdzie w bój, a może wcale nie zazna rozkoszy wojennej.

— Dlaczego to mówisz?—zdziwił się Wielki Mistrz.

— Zanim na nas nadejdzie kolej, pierwsze zastępy, które ruszą na Polaków, zgniotą ich i roztrącają.

Pochlebiły Ulrykowi te słowa i ta niezachwiana wiara w zwycięstwo, rzekł tedy:

— Co chcesz, ażebym uczynił dla ciebie?

— Przyjmnij mnie, panie, z hufcem moim do swojego boku—odpowiedział Kuno.—Niech przynajmniej osłaniam ciebie i stanę obok niezwalczonych Chełmińczyków.

Ulryk Jungingen rozjaśnił oblicze:

— Wiedziałem, że w Utenrodach krew płynie rycerska. Prośbę twoją spełniam. Zwróć się ku lewemu skrzydłu pułków chełmińskich i czekaj tam na mnie. A gdyby cię niechciano przyjąć, gdyby się dziwiono, pokaż ten pierścień, który otrzymałeś w darze odemnie.

Wielki Mistrz pomknął dalej, a Kuno zaraportowawszy Henrykowi, że sam Ulryk wzywa go do swego boku, wolno podjechał do zastępów chełmińskich.

— Cieszę się, że poharcujemy razem po głowach polskich — powitał Kunona na wstępie głos znajomy.

Młody rycerz poznał słynnego Kekeritza, który tak dzielnie wziął go w obronę na zamku Malborskim.

— Oto mój syn, Dyppold—rzekł Kekeritz—przywiódłem go z sobą i sądzę, że nie zrobi mi wstydu.

Młody, przedstawiony w ten sposób rycerz,

nie mógł dostać kroku, taką pałą żądzą rozlania krwi polskiej. Co chwilę też powtarzał:

— Kiedyż nareszcie się to zacznie?

Takie same pytania cisnęły się na usta innych również rycerzy, starzy zaś, wytrawni bojownicy zaczęli z trwogą patrzeć na to odwlekanie starcia. Ten pochód w nocy wśród gwałtownej ulewy i wichru, ten długi postój teraz w pełnym pogotowiu bojowym musiał nużyć, męczyć wojsko, które dźwigając ciężkie zbroje, upadało na duchu, prażone żarami słońca.

A Polacy zwlekali ciągle, a zwłaszcza zwlekał król Władysław. Książę Witold przebiegał „ulicę,” Zyndram z Maszkowic, wódz naczelny Polaków, mąż przysadzisty i krępy o herbie „jaśniejszym od słońca,” czekał na pierwsze skinienie, posepniejszy jednak tego dnia więcej jeszcze, aniżeli zwykle Jagiełło, nie śpieszył i wolno ubierał się w zbroję lekką, z najprędniejszej stali i pozłocistą.

Przy królu Jagielle znajdowała się straż przyboczna, a na wszelki wypadek, gdyby orężowi polskiemu miało się nie poszczęścić, stały w pogotowiu „żartkie rumaki”, przeznaczone do uwięzienia osoby monarchy w miejsce bezpieczne.

Trzej giermkowie: Zbigniew Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj Morawczyk i Daniłko Rusin stanęli najbliżej króla, a każdy z nich trzymał niezbędne do walki przybory, a więc pierwszy kopię królewską, drugi proporzeczek, trzeci łuk i sajdak Jagiełłowy.

Zbliżyło się południe, słońce stało najwyżej, duszno było tak, że oddychanie pod zbroją sprawiało już męki i pot spływał po twarzach. Jagiełło wciąż zwlekał. Podobny Witoldowi z niecierpliwości i rycerskiego animuszu Ulryk zwołał naradę do swojego namiotu, a choć młody, jednak obdarzony pierścieniem, Kuno Utenrode przybył tam również i skromnie stanął na uboczu i przysłuchiwał się wszystkiemu.

— Trzeba Polaków zmusić! — wołano.

— A jeżeli nic nie pomoże?—ozwał się stary Kekeritz.

— Są na to sposoby — przemówili najdoswiadczeńsi rycerze.—Bywało i jest w zwyczaju w razie przydłuższego niewystępowania do boju jednej z armij nieprzyjacielskich, przesłać dwa gołe miecze, jako godło natychmiastowego wyzwania w szranki. Jeżeli to nie pomoże, motłoch polski dowiedzie, że obyczaje rycerskie są mu zupełnie nieznanne.

Zgodzono się na ten projekt i dwaj heroldo-

wie w wyhaftowanych na piersiach dużych tarczach herbowych, wyruszyli do obozu polskiego z mieczami, przeznaczonemi dla Jagiełły i Witolda. Równocześnie wydał Ulryk rozkaz, ażeby zrobić miejsce wojskom królewskim.

Jagiełło dostrzegł pierwszy przybywających wysłanników Ulryka i serce jego zaczęło bić przyspieszenie. Mężny, nie lękający się śmierci król do ostatka nie chciał przelewu krwi i łudził się, że ci heroldowie krzyżacy, jeszcze teraz, gdy wojska stanęły już naprzeciw siebie, zwinstować będą zgodę i pojednanie.

Zdziwiło tylko Jagiełłę, że zarówno Ramryk, herold z szeregów węgierskiego Zygmunta, złązonego z Krzyżakami na zgubę Polski, jak herold księcia szczecińskiego Kazimierza, niosą dwa gołe miecze.

Uroczyście postanowił Jagiełło przyjąć posłów i wysłuchać warunki pokoju. Stanął tedy w otoczeniu W. Księcia Witolda, podkomorzego Mikołaja Trąby, Jana Mążyka z Dąbrowy, Zbigniewa z Oleśnicy i innych możnych panów.

Heroldowie przybliżyli się i zaczęli przemowę po niemiecku, a w miarę padających słów, chmury ukazywały się na czole króla, księżę Witold zaś niecierpliwie chwycił za rękojeść miecza.

— Przynosimy w imieniu Wielkiego Mistrza — mówił Ramryk — W. Marszałka i całej braci Zakonu, tobie królu, i tobie księżę Witoldzie, te oto dwa miecze nagie, jako pomoc i zachętę do boju, który dziś stoczyć musicie. Nasi panowie zakonni pozwalają wam także wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie trwońcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie strońcie od walki, której nie możecie uniknąć.

Król Jagiełło miał łzy w oczach, gdy posłuszal te harde słowa i tę podnieętę do przelania krwi polskiej. Łagodnie też, jak przystało chrześcianowi, odparł:

— Pomocy nie szukamy u nikogo, jak tylko u Pana Boga. W jego też imieniu przyjmujemy te miecze i chcemy się niezwłocznie rozprawić z wami. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytycza plac boju. On go wam i nam już oznaczył.

Heroldów oddano pod straż pana Dziwosza Marzackiego, herbu Jelita, a wojskom nakazano być w pogotowiu, gdy odezwą się trąby.

— Idą już, idą! — rozległo się w szeregach krzyżackich.

— Nareszcie! — zawołał Dyppold Kekeritz do Kunona, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Młody Utenrode stał, jak skamieniały, i nic nie widział, nic nie słyszał wokół siebie. Wyteżył wzrok i z zapartym oddechem wpatrywał się w nadciągające zastępy polskie. Inni dowódcy przebiegali szeregi, wydawali ostatnie polecenia, dodawali ducha, on był w tej chwili jak głaz obojętny na wszystko. Miecz nawet opuścił na dół i trwoga malowała się na twarzy.

Spostrzegł to Kekeritz i zdumiał się ogromnie:

— Odwagi, młodzieńcze! — rzekł. — Nie takie to straszne, jak się w pierwszej chwili może wydawać.

„Odwagi“? Nie tej brakło Kunonowi bynajmniej, zadrżał on i skamieniał z trwogi z innego powodu.

Z pod osłony drzew wysunęły się wojska królewskie. Tyle słyszał Kuno o liczebnej potędze tego wojska, że gdy teraz ujrzał nadciągających, a równocześnie powiódł okiem po zastępach krzyżackich, przeląkł się śmiertelnie. Przecież to garść tylko, z którą łatwo i prędko załatwi się Ulryk!

Wielki ból ścisnął mu serce, gdy zewsząd

rozległy się znów drwiny butnych rycerzy niemieckich. Chciałby był zasłonić oczy i uszy.

W tej chwili lekki wiatr powiał kurzem w oczy Krzyżakom, a równocześnie zagrały trąby i wojsko polskie z pieśnią „Bogarodzica!“ posunęło się naprzód. Ulryk kazał uderzyć całą siłą i jak wichur spadło wojsko krzyżackie na Polaków. Zagrzmiały działa, ustawione na wzgórzach, uderzono na kopie z taką mocą i furją teutońską, że chrzęst rozległ się daleko. Krzyżowały się berdysze, topory, oszczepy, szable i miecze.

Pułki chełmińskie nie brały jeszcze udziału w boju, Kuno przeto mógł patrzeć uważnie, a z ust jego przez drżące wargi wybiegały słowa: „Ratuj ich, Panie!“ „Czuwaj Najświętsza!“

I zdawało się młodemu rycerzowi, że Bóg tylko jego modłów słucha, godzinę bowiem trwał już bój, a Polacy nie ustępowali. Zamiast ubywać, przybywało wciąż ludzi w zastępach Jagiełły. Kuno nie umiał sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak cudem z nieba zesłanym, nie wiedział bowiem, że przezorny Witold główny dowódca wojsk litewskich, z Zyndramem, głównym wodzem zastępów polskich, nie całą armię odrazu wyprowadzili w bój, lecz ślali ciągle nowe hufce, świeże, odпочęte.

Przewaga jednak liczebna znajdowała się po stronie krzyżackiej, Kuno też spostrzegł, że wreszcie zachwiała się ściana litewska, a parta przez Krzyżaków cofnęła się w bok na prawo ku jeziorowi Lubońskiemu. Jeszcze raz Witold zatrzymał pędzących w popłochu Litwinów, Rusi-



Jezioro Lubońskie.

nów i Tatarów, jeszcze raz stawiono czoło, trwało to jednak krótko. Kuno widział, że część zbiegów ginie w falach jeziora i oniemiał z wielkiego bólu.

„Ogromne tumany kurzu ¹⁾ wzniosły się po

¹⁾ Szajnocha „Jadwiga i Jagiełło“. (Przyp. autora).

uciekającej Litwie i Ordzie. Ciągły od lasu wiatr miótł je w oczy Krzyżakom. Wreszcie puścił się drobny deszczyk i oczyścił powietrze. W blasku nowej wkrótce pogody rozwinęła się nad uderzającym wojskiem polskim wielka chorągiew państwa, z białym orłem w koronie. Król Władysław Jagiełło stał na wzgórzu z ubocza, niecierpliwie przypatrując się bitwie. Zachęceni jego okiem i rozkazami Zyndramowie, Zawisze, Nałęcz, Habdanki, Sulimczykowie, Jelic i t. d., najwaleczniejsi z rycerzów „wschodnich“, uderzyli z niepoślednią od teutońskiej natarczywością.

Ale rozgorzałe szczęśliwym bojem Krzyżactwo nie znało już żadnej tamy. Pod ciężkim szturmem Niemców zachwiała się ława polska, upadła wielka chorągiew państwa. Wszczęła się zacięta walka o sztandar. Rozgorzała w najwyższym stopniu wściekłość dwóch nieprzyjaciół odwiecznych, zwartych teraz śmiertelnym bojem o godło poświęcenia dla jednych, nienawiści dla drugich. W obopólnym sił wyteżeniu chwiały się z osobiwą zmiennością szale.

Już szczęśliwie z rąk krzyżackich wydarta, podniosła się znów wielka chorągiew o białym orle. Już nową otuchą zagrzane rycerstwo pol-

skie coraz pomyślniej parło nieprzyjaciela. W tem okazują się na pobojuwisku dawne pułki krzyżackie, wracające wesoło z pogoni za Litwą i Tatarami. Widząc swoich w opale, rzucają zdobyte na Litwie łupy i niosą nową zamieszkę w szeregi polskie“.

Wśród Niemców zapanował szal upojenia się zwycięstwem.

Nagle stała się rzecz niespodziewana. Jak z pod ziemi wyrosły nowe zastępy wojska polskiego, a doprowadzeni do ładu przez Witolda Litwini powrócili na plac boju.

— Więc jeszcze nie wszystko stracone? — szepnął do siebie Kuno, ale nie było czasu na rozmyślanie.

Wielki Mistrz Ulryk postanowił teraz wyprowadzić w bój pułki chełmińskie i uderzyć z boku na Polaków.

Kuno trzymał się w pobliżu Mistrza, jak gdyby osłaniał hufcem swoim jego osobę. Młody Dyppold Keckeritz von Dieber pomknął naprzód i odsunął się tak daleko ze swoim małym oddziałem, że wobec kurzu nie widział nawet Utenrode tego, co się z nim dzieje.

Młody, krewki Dyppold dojrzał na gniadym koniu siedzącego rycerza polskiego, a domyśla-

jąc się, że ważną musi być ten rycerz osobą, po-pędził naprzód, składając się kopią. Chełmiń-czycy z zapartym oddechem śledzili każdy krok młodzieńca, a kiedy ujrzeli, że rycerz polski złożył się również kopią, powstrzymali nawet konie w oczekiwaniu na to, co się stanie. Dyppold runął na ziemię, ugodzony koczanem i zakłóty kopiami.

Rycerstwo chełmińskie zawrzało gniewem:

— Pomścijmy śmierć towarzysza! — rozległo się w szeregach.

Już całym impetem miano spaść w stronę, gdzie stał na gniadym koniu ów rycerz w po-złocistej zbroi, gdy Ulryk zawołał groźnie:

— *Herum, Herum!*

A zwracając się do Kunona, dodał:

— Pędź i zawróć tych junaków! Cóż zna-czy luźny hufiec, gdy chwieje się cała ława wojska polskiego? Dobić potrzeba wszystkich.

Kuno powstrzymał zapędy Chełmińczyków, a spełniając wolę Mistrza, otarł się tak blisko o piersi polskie, że mógł spojrzeć na rycerza, z którym chciał się zmierzyć rycerski Dyppold.

— To król! — przemknęło mu przez głowę, nie zapomniał bowiem tej twarzy, którą wi-dział na Wawelu.

Chełmińczycy wciąż pędzili naprzód, pewni łatwego zwycięstwa, gdy wtem znów jakgdyby z pod ziemi wyrosłe, stanęły nowe zastępy, ostatnia kolumna, złożona z wojska zaciężnego, które do ostatka, jako najmniej dobre i sprawne, trzymano w odwodzie.

Kuno pośpieszył za Ulrykiem wraz z trzema innemi chorągwiami, dowodzonemi przez Waltera von Ohnesorge.

Chełmińczycy dobiegali już do wojsk polskich, które stały wprawdzie bez trwogi, ale jeszcze nie ruszały się z miejsca. Dopiero w ostatniej niemal chwili wysunął się na czoło młody, małego wzrostu rycerzyk, Dobek z Oleśnicy, i z kopią złożoną popędził wprost ku wielkiemu Mistrzowi.

Krew zagrała w Kunonie na widok tego rycerzyka i w jednej chwili powziął myśl straszłą. Gdyby ten Dobek miał zwałić się z konia, którego mu zranił Ulryk, on, Kuno, przemieni się w Przemka Toporczyka i zagrozi drogę cofającemu się Mistrzowi. Umocnił się jeszcze w tym zamiarze, dostrzegwszy w szeregach polskich znaną sobie tak dobrze twarz zacnego Łukasza, który zdawał się zachęcać młodzieńca oczami.

Ulryk wpadł w zastępy polskie i byłby tam poległ niechybnie, gdyby na pomoc nie pośpieszyli rycerze niemieccy, przemocą niemal wyciągając Mistrza.

Zawrócono w pośpiechu ku Tannenbergowi, za Krzyżakami poszło zwyciężkie wojsko polskie. Już Ulryk czuł się bezpiecznym i mniemał, że raz jeszcze zbierze siły, ażeby ostatni stawić opór, gdy stała się rzecz nieoczekiwana.

Nie zważając na komendę pędziły trzy chorągwie chełmińskie rycerza Waltera von Ohnesorge naprzód, a w chwili, gdy Ulryk dobiegał do Tannenbrega, zawróciły nagle i zagroziły drogę uciekającemu Mistrzowi. Zanim się zamiarkowano, te trzy chorągwie złączyły się z Polakami i natarły razem.

— Zdrada! — zawołał Ulryk. — Nie ujdę jednak z pola, na którym tyłu padło walecznych.

— Kuno! Co to znaczy? — krzyknął, ujrzawszy wzniesiony w górę miecz Utenrodego.

Kuno zrzucił płaszcz, cisnął go pod stopy koni i ciągle miecz trzymając wzniesiony w górę, wołał ochryplym z gniewu głosem:

— Zrywam śluby, które były udane, fałszywe. Nie ma już Kunona Utenrode, jest tylko Przemko Toporczyk z Krzekotowa. A wy byli-

ście tacy głupi, że wyhodowaliście żmiję u własnej piersi!

— Ha, ha, ha!—śmiał się dziko.—Zginiesz teraz marnie z mojej ręki, krew twoja potoczy się może w odkupieniu za tę krew niewinną braci moich, matki, sióstr, którą kazałeś przelewać niewinnie.

Ulryk jeszcze nie wierzył:

— Weźcie go, okujcie—zawołał.—Ten człowiek dostał obłądu z rozpaczy po naszej klęsce.

Zanim rycerze przybocznicy zdążyli spełnić ten rozkaz, już ciężki miecz, odziedziczony po panach na Massenburgu, świsnął w powietrzu i zwałił się na głowę Wielkiego Mistrza.

Rycerze oniemieli, ale zaraz sto mieczów uniosło się również nad głową Przemka, który cofnął się i zasłonił tarczą.

Co się dalej działo, o tem Toporczyk dowiedział się dopiero później, gdy leżał na pośłaniu w ubogiej chacie nad jeziorem Lubońskim, a przy nim czuwał Łukasz z Dębicza i Wincz z Wroniawy.

Przemko otworzył zwolna oczy i patrzył błędnie przed siebie.

— Czy Ulryk żyje? — zapytał wreszcie.

— Uspokój się—odparł Łukasz łagodnie.—Nie tylko Ulryk zginął, lecz zginął także cały Zakon Krzyżowy. Nie miej jednak wyrzutów sumienia. Ulryk nie z twojej padł ręki. Szyszak go obronił, a ty jedynie sprawiłeś, że Mistrz zatrzymany został w ucieczce, dzięki czemu też zdążyliśmy w porę przybiedz, ażeby cię wyrwać z rąk rozjuszonych towarzyszy Ulryka.

— Gdzie król? — jęknął młodzieniec.

— Władysław Jagiełło w tej chwili odprawia nabożeństwo dziękczynne. Wie on o zasłudze twojej i pragnie cię zobaczyć.

— Dlaczego nie idziecie na Malborg?—pytał Przemko.

— Obyczaj rycerski każe czekać przez trzy dni na wznowienie walki.

— Precz z takim obyczajem! Ja ich znam i wiem, że jeśli Malborg nie będzie teraz zdobyty, to gadzina krzyżacka znów się rozpleni. Zawiedźcież mnie do króla, a może go ubłagam, by poszedł dalej. Trzeba się spieszyć, zanim Henryk Plauen nowe zbierze siły.

Przemko chciał się dźwignąć i biedz do króla, ale opadł na łoże i znów opanowała go gorączka. Dopiero na drugi dzień, prowadzony

przez Dębicza i Wincza, stawić się mógł przed obliczem Jagiełły.

Na widok młodzieńca, o którym słyszał już wszystko, król nie rozchmurzył swojego posępnego czoła.

— Odejdźcie—rzekł Jagiełło—chcę zostać sam z tym rycerzem.

Natychmiast odstępili panowie, otaczający króla, a Jagiełło wszedł do namiotu i przemówił:

— Znam cię i wiem, że starałeś się dobrze przysłużyć ojczyźnie, która też zawdzięcza ci dużo. Łaskawość moja towarzyszyć ci odtąd będzie zawsze, wiedz jednak, że nie pochwalam ostatniego postępu twojego. Godzić znieśc na życie Ulryka, to nie było po rycersku. Wybaczam ci to, bo taką przeszedłeś szkołę u Krzyżaków, dla których nie ma złej drogi, byleby tylko wiodła do celu.

Łzy, niemięskie łzy błysnęły w oczach Przemka, przypadł też do ręki króla, przyklęknął i nie rzekł słowa na swoje usprawiedliwienie.

— Wstań, młodzieńcze—przemówił Jagiełło nadzwyczaj łagodnie—i nie wstydz się tych łez, bo one okupiły w tej chwili wszystko. Bądź pewnym, że nie zapomnę o tobie i pomyślę o twojej przyszłości. A teraz idź z Łukaszem z Dę-

bicza do Zyndrama, on znajdzie dla ciebie pole do popisu. Dziś mija trzeci dzień oczekiwania na nową bitwę, jutro ruszamy pod Malborg. Będziesz nam potrzebny jako wypróbowany przewodnik.

Na te słowa twarz Przemka zabłysnęła radością.

— Nie zawiedziesz się, Najjaśniejszy panie—zawołał z mocą i raz jeszcze przyklęknął, całując kraj szaty królewskiej.

Stosownie do przyrzeczenia Jagiełły wojska polskie posuwać się zaczęły pod Malborg, w którym z resztą ocalonych rycerzy zamknął się niezłomny Wielki Komtur, Henryk von Plauen.

Nie ziściły się jednak marzenia Przemka, ażeby jako jeden ze zwycięzców mógł wkroczyć do tej warowni. Napróżno przypuszczano szturm po szturmie, napróżno młody Toporezyk z Dębiczem wskazywali wszystkie słabe miejsca, Henryk zaszył się, jak borsuk w jamie, i nie nie zdołało go wypłoszyć. Kiedy jeszcze w wojsku polskim zabrakło jada dla ludzi i koni, i kiedy Witold, bojąc się o to, ażeby Jagiełło

nie okroił praw litewskich, cofnął się od obleżenia, nie pozostawało nic innego, jak odstąpić od niezdobytej warowni krzyżackiej.

Jagiello nie zapomniał o Przemku, a obdarczywszy go rozległemi włościami w Wielkopolsce, często zapraszał Toporczyka z Krzekotowa na łowy, a nawet dwa razy bawił u niego w gościnie.

Nie zapomnieli również o „zdrajcy Utenrodem“ Krzyżacy. Wysyłali oni zbirów do Krzekotowa, urządzali zasadzki, wszystko to jednak przenikali i unicestwiali Dębicz, lirnik Andrzej, Wincz z Wroniawy, Mieszko z Gostuszy i inni, pełniący dawniej czynność wywiadowczą, pomocnicy dawnego Luxa.

Przemko późnej dożył starości, otoczony czciami sąsiadów i licznej rodziny, którą sobie stworzył, pojąwszy za żonę Dorotę z cenionego rodu Pilawitów z Karczewa.

Na wspomnienie zamku w Massenburgu chmura oblekało się czoło starca.



KONIEC.



